

ŁOWCA DUSZ

Św. Paweł od Krzyża



Edmund Burke CP

Edmund Burke CP

ŁOWCA DUSZ

Św. Paweł od Krzyża

Wydanie nowe poprawione

Sadowie-Golgota 2007

Tytuł oryginału
HUNTER OF SOULS
A Study of the Life and Spirit of Saint Paul of the Cross
The Newman Bookshop, Westminster 1947

Przekład
JAN RYBAŁT

Redaktor prowadzący
O. KRZYSZTOF ZYGMUNT CP

Redaktor merytoryczny
KRZYSZTOF L. GÓRSKI

Na okładce:
Witraże w kościele OO. Pasjonistów w Rawie Mazowieckiej

© Copyright by Zgromadzenie Pasjonistów
Sadowie-Golgota 2007

ISBN 978-83-7232-749-9



Łamanie, druk i oprawa
OFICYNĄ WYDAWNICZO-POLIGRAFICZNĄ „ADAM”
02-729 Warszawa, ul. Rolna 191/193
tel. 022 843-37-23, 022 843-08-79; tel./fax 022 843-20-52
księgarnia firmowa tel. 022 843-47-91
e-mail: wydawnictwo@oficyna-adam.com.pl
<http://www.oficyna-adam.com.pl>

PRZEDMOWA TŁUMACZA

O Pawle, łowco dusz, głosicielu Ewangelii i światłości jaśniejąca; nauczyłeś się mądrości z ran Chrystusowych, zostałeś umocniony do pracy przez krew Chrystusową, wiodłeś narody ku pokucie przez mękę Chrystusową. Przyjmij wieniec sprawiedliwości z rąk Chrystusowych.

*Antyfona z II nieszporów na uroczystość
św. Pawła od Krzyża*

Postać św. Pawła od Krzyża, założyciela Zgromadzenia Krzyża i Męki Pańskiej – zwanego potocznie zgromadzeniem pasjonistów – choć zbyt mało dotąd jeszcze znana szerokiemu ogółowi, posiada jednak swą, dziś już bardzo pokaźną literaturę. Zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat literatura ta wzbogaciła się o kilka źródłowych monografii oraz cały szereg krytycznych, szczegółowych opracowań, odznaczających się niemałą wartością naukową, a często też i wysoką rangą literacką.

Nasuwa się więc pytanie: co wyzwoliło, właśnie w naszych czasach, tę nagłą falę zainteresowania postacią Świętego? Przyczyny, zarówno długotrwałego zapomnienia, jak i tego, co można by określić jako dzisiejsze „odkrycie” św. Pawła od Krzyża, są dość

liczne i różnorodne. Niektóre z nich postaramy się niżej wysledzić i rozpatrzyć. Jest to niewątpliwie zaznaczająca się coraz wyraźniej dynamiczna żywotność i prężność zgromadzenia pasjonistów, roz-sianego już obecnie pod wszystkimi niemal szerokościami geo-graficznymi, jego jakaś widać szczególna atrakcyjność dla ludzi naszej doby, skoro w światowych statystykach powołań zakonnych wysunęło się ono ostatnimi laty na jedno z czołowych miejsc, a nade wszystko zastanawiająca płodność duchowa tego stosun-kowo młodego zgromadzenia, które na przestrzeni niespełna dwu stuleci dało już Kościołowi szereg wielkich świętych. Nic dziw-nego zatem, iż poczynają się mnożyć pytania o założyciela tego zgromadzenia, o dzieje jego życia, a zwłaszcza o jego duchowość.

„Ogrom materiałów źródłowych do pracy o św. Pawle od Krzyża jest wręcz przytłaczający” — pisze autor niniejszego życio-rysu w swym krótkim wstępie do angielskiego oryginału. Rękopi-smienne protokoły zeznań ponad 100 świadków powołanych do złożenia zaprzysiężonego świadectwa na procesach poprzedzają-cych beatyfikację i kanonizację Świętego wynoszą aż 22 tomy, z których każdy liczy 800 stron. Samo tylko sprawozdanie o. Jana Marii CP, spowiednika św. Pawła w ciągu ostatnich 10 lat jego życia, obejmuje ponad 600 stron. Taka przeobfitość dokumentów stanowi dla każdego dziejopisarza istne dobrodziejstwo, ale zarazem i nie lada kłopot. Jak tu bowiem nie zgubić się w takim gąszczu, bujnym i splątanym, rozległym i różnorodnym jak samo życie? Jak tu rozpoznać elementy istotne i nie przeoczyć ich wśród natłoku szczegółów? Jak przeczuć ich obecność, ukrytą nieraz pod skorupą przeciwnych pozorów, by je spod tej pokrywy wyłuskać? Skąd dowiedzieć się, którym spośród tej nieprzebranej mnogości faktów, czynów, przeżyć i słów należy przypisać właściwy klucz do najgłębszej, nieprzekazywalnej tajemnicy człowieka? Czym tu przeświecić tego człowieka tak, aby nie dając się zwieść zew-nętrznym tylko rysom, dostrzec jego właściwą istotę?

Te trudności, znane wszystkim historykom stojącym w obliczu podobnego bogactwa informacji, komplikują się jeszcze dla bio-

graфа św. Pawła od Krzyża nie tylko przez fakt, że był świętym i to świętym o wyjątkowo wieloaspektowej osobowości i wielostronnych, choć zbieżnych, kierunkach działania. Komplikuja się jeszcze o całą złożoność czasów, w jakich upłynęło jego życie, ich swoisty klimat, o coraz silniej wzrastającej temperaturze tak intelektualnej, jak politycznej i społecznej. Któryż jednak historyk, godny tej nazwy, odważyłby się dziś pisać życiorys zlekceważyć tło epoki. I czy jest to w ogóle możliwe bez narażenia się na niebezpieczeństwo zniekształcenia, a nawet zafałszowania sylwetki opisywanej postaci.

Takim to chyba przyczynom należy przypisywać dość uderzający fakt, że mnożące się ostatnimi czasy prace poświęcone św. Pawłowi od Krzyża, to w przeważającej większości studia szczegółowe, omawiające ten czy inny aspekt jego duchowości lub kierunku jego wysiłków. Wobec znacznej ilości wycinkowych opracowań musi z konieczności wydać się znikoma liczba wyczerpujących monografii historycznych, przedstawiających w syntetycznym skrócie całokształt osobowości, ducha, poczynań, przeżyć i osiągnięć św. Pawła od Krzyża na tle i w kontekście zarówno dziejów jego własnego życia, jak i pionierskiej epoki, jaką był wiek XVIII. I trzeba przyznać, że nawet te nieliczne pełne biografie, choć kilku z nich niepodobna odmówić dużych walorów – tak merytorycznych, jak formalnych, nie zawsze stoją na najwyższym poziomie. Autorzy ich nie zawsze potrafili dokonać bezbłędnej selekcji materiałów, oprzeć się pokusie rozbudowania jakiegoś urzekającego, choć ubocznego wątku, na niekorzyść zasadniczego nurtu, ustrzec się od zaciemnienia prawdziwego oblicza swego bohatera nadmiarem jedynie drugorzędnych szczegółów.

Należy więc chyba ze szczególną radością i uznaniem powitać wybór dokonany przez pasjonistów polskich, którzy postanowili udostępnić swym współbraciom jeden z nowoczesnych, obcojęzycznych życiorysów ich Założyciela; wybór, który nie ulegając fascynacji głośnymi nazwiskami autorskimi i obszernymi opracowaniami, padł na książeczkę o. Edmunda Burke CP – dziełko

objętościowo szczupłe, pisane stylem prostym, bezpretensjonalnym, niemal gawędziarskim, takim, jakim w gronie najbliższych rozmawia się o kimś wspólnie kochanym. Bo wąskie ramy tej pracy mieszczą w sobie wprost zdumiewający ładunek treści, jędrnej, skondensowanej, a zarazem doszczętnie wyjałowionej z wszelkich ubocznych naleciałości, wolnej od wszelkiej ornamentyki i wszelkiego balastu. A prostota tej książki – to prostota czystej prawdy bez przymieszki. Ta trudna, kunsztowna, tylko najwyższym wysiłkiem i czujną rzetelnością badawczą osiągalna prostota, na którą stać jedynie wytrawnego mistrza, który opanowawszy gruntownie całokształt przedmiotu, potrafi nieomylną ręką wychwycić zeń składniki istotne i powiązać je w przejrzystą a zwartą syntezę. Ojciec Burke jest niewątpliwie historykiem nieprzeciętnej miary. Nie najmniejszym też walorem jego książki jest jej ujęcie literackie, nowoczesność techniki pisarskiej.

Największą jednak bezsprzecznie zaletą tej książki jest chyba to, że w każdym, dosłownie w każdym jej zdaniu wyczuwa się, że pisał ją syn rozkochany w Ojcu, nie tylko tą miłością pietyzmu i uwielbienia, którą każdy zakonnik niejako z obowiązku żywi dla zgromadzenia, ale miłością osobistą, gorącą, zaangażowaną – miłością z wyboru. Miłość ta, tym bardziej przekonująca, iż starannie przysłonięta męską, rzeczową powściągliwością narratora, wprost wyczuwalnie bije ze wszystkich kart książki i niepostrzeżenie a niezawodnie udziela się czytelnikowi.

To jednak jeszcze nie wszystko. Można śmiało dodać, że autora niniejszego życiorysu musi łączyć z jego bohaterem to jakieś swoiste powinowactwo duchowe, które w płaszczyźnie czysto przyrodzonej stanowi nieodzowny warunek udanej biografii. Ono to bowiem umożliwia autorowi intuicyjne wniknięcie w psychikę opisywanej postaci, wyśledzenie ukrytych sprężyn jej działania, bezbłędne odczytanie motywacji jej poczynañ i przeżyć, dotarcie do utajonego, najgłębszego nurtu, który uwarunkował przebieg jej życia.

Św. Paweł od Krzyża w ujęciu ojca Edmunda Burke to zarazem ten wielki święty, jakim był w rzeczywistości, święty nieszablo-

nowy i nie odrealniony, święty o własnym, indywidualnym obliczu i własnej, niepowtarzalnej drodze do Boga, a jednocześnie człowiek mocno osadzony w konkretnych czasach i swej ziemi, Italii, która na przestrzeni wieków tak szczerze, chciałoby się powiedzieć niemal rozrzutnie, obdarzyła Kościół nieprzeliczonym szeregiem swych najwspanialszych synów.

Człowiek, który wylania się z kart tej książki, to człowiek żywy, człowiek o bogatej, barwnej, wielostronnej osobowości, człowiek wielkiej idei, o wielorakich poczynaniach. Człowiek twardy a wrażliwy, nieugięty a wyrozumiały, gwałtowny tą gwałtownością, która porwuje królestwo niebieskie, a zarazem nieskończenie subtelny. Człowiek tajemniczo poślubiony Męce Pańskiej, żyjący latami w ogródcowej trwodze i kalwaryjskim konaniu, który troszczył się z drobiazgowością matki o każdy szczegół dotyczący dobra tych, za których się czuł odpowiedzialny. Człowiek, który zmierzając pokrwawionymi stopami do celów, jakie mu Bóg wytyczył, potrafił doceniać przyrodzoną, a chyba także i nadprzyrodzoną, wartość uśmiechu, celnego żartu, poczucia humoru. Człowiek, który ogarniając pokutą i modlitwą całe zło i całą udrękę świata, w każdym okrucieństwie ludzkiego zła dostrzegał odcisk palców Stwórcy.

Niepodobna więc chyba — zamykając książkę ojca Burke — nie odczuć jakiegoś wielkiego przypływu wdzięczności dla autora, który tak umiejętnie potrafił nas zapoznać z takim świętym i takim człowiekiem.

A w ślad za tą wdzięcznością dla autora nasuwa się pewna myśl, że może wszyscy święci byli, każdy na swój sposób, takimi właśnie uroczymi ludźmi, tylko że nie każdy doczekał się takiego biografy, który by posiadał na tyle Bożego zmysłu i ludzkich umiejętności, aby go przedstawić w pełnej prawdzie, zarówno Boskiej, jak i ludzkiej.

Część pierwsza

ŻYCIE ŚWIĘTEGO PAWŁA OD KRZYŻA

I DOLINA ROZTERKI 1694–1720

Proboszcz z Ovada otworzył zniszczoną księgę parafialną i zanurzywszy głęboko gęsie pióro w kałamarzu zabrał się do wpisanego imienia i nazwiska nowo ochrzczonego dziecka, uważając przy tym, aby się nie pomylić w dacie, gdyż był to początek nowego roku. Najpierw więc napisał wyraźnie „1694, szóstego dnia, miesiąca stycznia”, po czym z namysłem kontynuował: „Paweł Franciszek, syn Łukasza Dannia i Anny Marii, urodzony dnia 3 stycznia, a w dniu dzisiejszym przeze mnie ochrzczoney...”. Mimo namysłu i uwagi, zacny pleban popełnił jednak błąd w pisowni nazwiska. Ale trzeba przyznać, że i inni często je przekreślali¹.

¹ Istnieją trzy wersje nazwiska: *Dannia*, *Danei* i *Daneo*. Na fotokopii metryki chrztu wyraźnie widnieje *Dannia*. Jakkolwiek większość współczesnych biografów idąc za przykładem św. Wincentego Strambi, podaje *Danei*, późniejsze badania wykazały, że najbardziej przyjęte było brzmienie *Daneo*. *Daneo* widnieje na podpisach pierwszych listów Pawła. Oficjalny dokument wystawiony w kancelarii kardynała wikariusza Rzymu w 1726 r., podpisany i zatwierdzony

Dannia... Daneo...? Czy to nie wszystko jedno? W dodatku proboszcz po raz pierwszy wciągał to nazwisko do księgi, można mu więc błąd wybaczyć. A zresztą, czy zapracowany ksiądz nie ma większych kłopotów? Przecież ludziska wciąż jeszcze pogadują szeptem o strasznym trzęsieniu ziemi, które wydarzyło się na Sycylii przed czterema zaledwie miesiącami. Potworna katastrofa. Pięćdziesiąt cztery miasta i trzysta z górą miasteczek zmiecionych z powierzchni ziemi, sto tysięcy ofiar w ludziach. Życie i śmierć — śmierć i życie... Proboszcz zebrał swe rozbiegane myśli, sprawdził, czy atrament już wysechł, zamknął księgę i starannie odłożył ją na miejsce.

Łukasz Daneo, stojąc za ladą swego sklepiu z płótnem i suknamy, w ciasnej, bocznej uliczce miasteczka Ovada², przeżywał w swym czasie dni szczęścia i pociechy. Po kocich łbach bruku na Via San Domenico co rusz dudniły spieszne kroki życzliwych przyjaciół, zbiegających się, by złożyć mu gratulacje i życzenia. I doprawdy było z czego się radować; tym bardziej iż życie nie oszczędziło Łukaszowi ciężkich ciosów. Po pięciu latach szczęśliwego pożycia pierwsza jego żona Katarzyna zmarła, a on pozostał sam, bezdietny i opuszczony. Gdy zaś dwa lata później w 1692 r. ożenił się po raz wtóry z młodziutką Anną Marią Massari, śmierć znów niebawem zawitała do jego małego domku, zabierając pierwsorodną córeczkę w trzy dni po jej przybyciu na świat. Aż oto teraz nareszcie modlitwy jego zostały wysłuchane, doczekał się syna. Chrzcziny zostały zapewne odłożone do święta Trzech Króli, aby można było mieć cały dzień wolny na tę uroczystość. Ponadto była to uroczystość podwójna, gdyż w dzień ten wypadała rocznica ślubu Łukasza i Anny Marii. Szczęśliwy ojciec już układał plany na przyszłość. Jego syn musi przynieść zaszczyt rodzinie Daneo.

Teraz już nazwisko ich nie wygaśnie. A poza tym, jeśli wierzyć słowom Anny Marii, jakieś szczególne błogosławieństwo Boże

² Ovada, miejsce urodzenia św. Pawła od Krzyża, jest małym miasteczkiem w diecezji Aкви w dzisiejszym Piemontcie. W 1694 r. wchodziła w skład księstwa Montferratu podlegającego królowi Sardynii.

unoszą się nad ich dzieckiem. Twierdziła bowiem, że w chwili jego urodzenia przepelniła cały pokój jakaś przedziwna jasność, tak świetlista, że zaćmiła nawet blask płonących lamp.

Interpretacja faktów w świetle późniejszych wydarzeń ma w sobie zawsze coś szczególnie pociągającego. Toteż późniejsze życie św. Pawła od Krzyża skłoniło biografów do przypisywania nadmiernego znaczenia sprawom z okresu jego dzieciństwa. Jego zwyczaj budowania sobie ołtarzyków, przed którymi klękał do modlitwy, jest niewątpliwie wzruszający i pełen wdzięku. Czy musi on jednak koniecznie świadczyć o przyszłej świętości? Chyba większość katolickich dzieci, wychowanych w pobożnej rodzinie, miewa takie zwyczaje. Tu jednak zachodzi pewna różnica. Przeciętne dziecko po pewnym czasie ma zazwyczaj dość tej zabawy, gdyż inne rzeczy zaczynają przykuwać jego uwagę. I któreż to zwykle dziecko gotowe jest codziennie, w tajemnicy przed rodzicami, zrywać się ze snu na dwie lub trzy godziny przed świtaniem, by modlić się przed swym domowym ołtarzykiem? Tak to mały Paweł Daneo dał już od najmłodszych lat wyraz temu zamiłowaniu do modlitwy, które miało stać się później tak wybitnym rysem jego duchowości.

Paweł był najstarszym dzieckiem z rodzeństwa, które z czasem osiągnęło liczbę sześciu osób. I w kręgu rodzinnym odebrał pierwsze nauki prostej, codziennej pobożności. Że nauczył się pacierza na kolanach matki — to można przyjąć za pewne. Najbardziej jednak lubił chwile, gdy przed zaśnięciem opowiadała mu różne zdarzenia z życia świętych. Niektóre z tych opowiadań słyszał tak często, że w końcu umiał je na pamięć. Toteż z biegiem czasu począł zbierać wokół siebie braci i siostry, którym z kolei on je opowiadał. Anna Maria umiała nadawać swym pouczeniom praktyczny kierunek. Gdy grzebień niekiedy zbyt mocno targał niesforną czuprynę chłopca i dziecinne łzy napływały mu do oczu, matka w odpowiedzi na jego żalowaną skargę wciskała mu do rąk mały krucyfiks. „Popatrz no — mówiła — zobacz, ile Pan Jezus wycierpiał”. I natychmiast płkanie milkło. To stałe przypomni-

nanie pozostawiło we wrażliwym umyśle dziecka ślad głęboki i trwały. Wiele lat później pamięć tego wczesnego wychowania była wciąż w nim jeszcze żywa i gorąca. „Jeśli, jak mam nadzieję, zostanę zbawiony – wyznawał Paweł z wdzięcznością – będę to zawdzięczał pouczeniom mojej matki”.

Przeprowadzka do nowego domu musiała być zapewne nie lada wydarzeniem w życiu siedmioletniego Pawła. Pokoiki nad sklepem okazały się bowiem wkrótce zbyt ciasne, by móc pomieścić powiększającą się rodzinę Łukasza i trzeba było pomyśleć o nowym domu w sąsiednim Cremolino, gdzie niebawem Paweł zaczął uczęszczać do szkoły. Program nauczania, choć nie był z pewnością zbyt obszerny, dawał widać solidne podstawy, skoro w tej właśnie szkole nauczył się Paweł roztropnie myśleć i wyśławiać się trafnie. Tu też nabył tej zniewalającej umiejętności przekonywania, która po latach nadawała tyle uroku jego kazaniom. Że zaś jego pierwszy nauczyciel był karmelitą, musiał Paweł wcześniej zapoznać się ze św. Janem od Krzyża, doktorem mistycznym, wówczas jeszcze nie kanonizowanym, którego nauka stała mu się z czasem tak bliska³. Podobnie jak św. Jan od Krzyża, poświęcał sporą ilość wolnego czasu ochotniczej pracy w szpitalu. Lecz nade wszystko pociągała go modlitwa. Ledwo zakończył swe codzienne zajęcia, wyruszał do kościoła. Toteż wśród kolegów utarło się powiedzenie: „Chcesz znaleźć Pawła?... Zajrzyj do kościoła”.

Droga wiodąca z Cremolino do ojcowskiego sklepu w Ovada dobrze była znana Pawłowi. Gdy przez okno swej izdebki spoglądał w dół na zaciszne podwórko za kościołem parafialnym, myśli jego uciekały do księżek. Wystarczyło zamknąć oczy, by ujrzeć białą wstęgę drogi wijącą się po zboczu pagórka, kościół ze swą kopułą i bliźniaczymi wieżami, kryte czerwoną dachówką, białe domki wieśniacze rozsiane po zielonym stoku, migotliwe fale rzeki Olby, rozpryskujące się z głośnym szumem

³ Św. Jan od Krzyża został kanonizowany w 1726 r., a ogłoszony doktorem Kościoła w 1926 r.

o drewniane filary mostu. Po czym powracał znów do leżących przed nim zadrukowanych kart. Pewnego razu w czasie wycieczki do Ovada spotkała Pawła i jego młodszego brata dziwna przygoda. Obydwaj wpadli do bystro płynącej Olby⁴. Nie było w pobliżu nikogo, kto by mógł dosłyszeć ich rozpaczliwe wołanie o pomoc, gdy oto nagle ukazała się jakaś przepiękna Pani, która podawszy każdemu z nich rękę, pomogła im wydostać się na brzeg. Był to w życiu Pawła pierwszy dowód tej nadprzyrodzonej opieki, jakiej miał później doznać w wielu krytycznych chwilach swego życia.

Chronologia kilku następnych lat nie jest dokładnie znana, jakkolwiek mieści się w nich kilka bezspornych faktów. Szalała wówczas wojna o sukcesję na tronie hiszpańskim. Zbliżanie się wrogich wojsk do granicy budziło rosnący niepokój. Łukasz Daneo zamknął więc swój sklep w Ovada i opuścił dom w Cremolino. Ale wśród ogólnego zamieszania niełatwo było osiedlić się gdzieś na stałe; rodzina Daneo mieszkała czas jakiś w Campo Ligure, po czym nastąpiły dalsze przeprowadzki, aż w końcu 1718 roku przybyła do Castellazzo, do rodzinnego domu, w którym niegdyś urodził się Łukasz. Czy Paweł towarzyszył rodzinie w tych wędrówkach? Wydaje się, że nie, gdyż wiarogodna tradycja głosi, iż jakiś czas przebywał jako ubogi student w Genui, dokąd ojciec posyłał mu drobne sumy na utrzymanie.

Uszczuplona majątność rodziny spowodowała niebawem konieczność rozejrzenia się za jakimiś środkami zaradczymi. I właśnie wtedy jeden ze stryjów Pawła, ksiądz Krzysztof Daneo,

⁴ Zdaniem niektórych autorów powtarzających owo zdarzenie za Strambim, była to rzeka Tanaro. Przypuszczenie to jednak zupełnie bezpodstawne. Most na Olbie w pobliżu miejsca wypadku jest poświęcony św. Pawłowi od Krzyża. Następujący napis upamiętnia to wydarzenie: „W tym miejscu św. Paweł od Krzyża, który jako dziecko wpadł do rzeki wraz z bratem Janem Chrzycielem, został cudownie uratowany przez Najświętszą Pannę, którą przyzywał na pomoc, wołając: „*Mamma*, ratuj mnie”.

wystąpił z propozycją, mającą niewątpliwie wszelkie pozory idealnego rozwiązania: niechże bratanek postara się o korzystny ożenek. Aby zaś utorować mu drogę do przyszłego małżeństwa, obiecał zapisać mu pokaźny spadek, właściwie całą swoją fortunę. Był to dla młodego człowieka kłopotliwy dylemat. Paweł nie wiedział jak z niego wybrnąć. Nie mógł zlekceważyć życzeń stryja bez narażenia się na zarzut niewdzięczności i uchybienia synowskim obowiązkom. Ale nie ulegało wątpliwości, że do małżeństwa nie odczuwał najmniejszego pociągu. Co wobec tego należało postanowić? I wówczas to zupełnie niespodziewanie ksiądz Daneo zmarł. Zdążył jednak sporządzić testament, w którym szczerze obdarował Pawła na przyszłość. Jednakże rozpatrywanie widoków na przyszłość rychło ustąpiło miejsca żalości, gdy z kolei Paweł oznajmił z całym spokojem swą niewzruszoną wolę. Oto nie przyjął spadku, lecz nie chcąc nikogo urazić, zatrzymał sobie brewiarz stryja na pamiątkę jego ofiarnej troskliwości. W obecności wykonawców testamentu zwrócił oczy w stronę krucyfiksu i wypowiedział te wzruszające słowa: „Panie mój Ukrzyżowany, oświadczam, że z tego spadku przyjmę tylko ten oto brewiarz, gdyż Ty jeden, Boże mój, starczysz mi za wszystko”.

Młodzieńczy idealizm jest zawsze ujmujący. Niebawem wszakże Paweł uczynił krok mogący wzbudzić nieporównanie większe zdumienie. Oto w 1715 r. papież Klemens XI zwrócił się do chrześcijańskiej młodzieży z wezwaniem do nowej krucjaty przeciw Turkom. Miało dojść do ponownego starcia między Krzyżem a półksiężycem, między wiarą chrześcijańską a islamem. Jednak wśród większości wiernych wezwanie papieskie przebrzmiało bez echa. Tylko Republika Wenecka, w której ożyło wspomnienie bitwy pod Lepanto, poczęła gromadzić wojsko. Wezwanie do broni poruszyło serce Pawła. Postanowił zaciągnąć się do armii weneckiej. Ta niespodziewana decyzja, choć z jego punktu widzenia raczej zrozumiała, napęłniła przerażeniem jego ojca. Łukasz Daneo bowiem już od lat usiłował wszczepić swym synom przekonanie, że dwóch rzeczy należy unikać jak ognia:

namiętności do gry i noszenia broni. A teraz najstarszy jego syn nauczył się posługiwać muszkietem i każdą wolną chwilę będzie spędzał na rżnięciu w karty lub w kości. W miarę jak upływały uciążliwe miesiące, Paweł miał możność przemyślenia tych złowróżbnych przestróg ojcowskich. Jego marzenia o roli żołnierza spod znaku Krzyża rozwiały się w zetknięciu z twardą rzeczywistością. Krucjata zamieniła się bowiem w istny koszmar ustawicznych marszów i kontrmarszów po równinie północnej Italii, niekończących się gościńców, których kurzawa unosiła się gęstą chmurą nad ciągnącymi kolumnami, ciągłych biwaków i postojów: w Cremonie, Parmie, Ferrarze... I ciągłych pogłosek o mającym nastąpić załadowaniu na okręty, które wciąż okazywały się tylko pogłoskami.

Wprawdzie silny organizm Pawła znakomicie wytrzymywał trudy żołnierskiego życia, ale jego dusza była rozdarta. Co miał począć mistyk w warunkach, w których nocną ciszę mącił hałas wszczynany przez podochoconych towarzyszy? Czego mógł się spodziewać kontemplatyk w otoczeniu rozbrzmiewającym soczystą koszarową gwarą? Jak niegdyś w Cremolino, tak i teraz wymykał się do kościoła i jego kojącej ciszy, gdzie obolała dusza mogła znaleźć samotność, doznać pokrzepienia. I w czasie jednej z takich chwil przyszła upragniona odpowiedź. Modląc się podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa w Crema, Paweł nagle zrozumiał, że takie życie nie jest dla niego. Jest powołany do innej krucjaty – krucjaty ducha. Nie zwlekając zameldował się u swego dowódcy, przedstawił mu sprawę i wkrótce otrzymał zwolnienie.

W tym czasie Paweł spędził kilka miesięcy w domu jakichś bezdzietnych małżonków zamieszkających w Novello w diecezji Albi. Jeśli nie znajdował się wówczas w drodze powrotnej do rodziny, to być może został tam zakwaterowany na czas swej służby wojskowej. Tak czy inaczej, gospodarze ujęci jego wdziękiem i uprzejmością chcieli przybrać go za syna i uczynić spadkobiercą swego dość znacznego majątku. Paweł z uśmiechem

podziękował im za tę wspianą propozycję i ruszył w dalszą drogę do Castellazzo⁵.

Dom w Castellazzo miał być przez kilka następnych lat nie tylko stałym miejscem zamieszkania, ale i widownią wielu młodzięcych umartwień. Był to wysoki, obszerny, wygodny, trzypiętrowy budynek położony na krańcu miasta, o zielonych żaluzjach chroniących przed promieniami południowego słońca i wąskich drzwiach wejściowych ocienionych rosnącymi po obu stronach drzewami. Ten okres w życiu Pawła rozpoczął się od wysłuchania – być może już wcześniej – kazania, które zadecydowało o jego „nawróceniu”, skłaniając go do podjęcia nowych umartwień, przypominających niekiedy praktyki pokutne dawnych anachoretów. Przy stole odmawiał sobie wszystkiego, co mogłoby mu smakować, ukradkiem zaprawiał napój octem i żółcią. W nocy spał na strychu starej stodoły, na gołych deskach, z kilkoma ceglami pod głową. Aby zapewnić sobie zwycięstwo ducha w podboju ciała, sięgał po wszystkie możliwe środki. A że zwycięstwo było równie oczywiste jak i całkowite, wynika chociażby z tej modlitwy Pawła, podsłuchanej przypadkiem przez jakiegoś świadka, którego obecności się nie domyślał: „Przecież wiesz dobrze, o Panie, że dzięki Tobie twój Paweł nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek splamił duszę bodaj jedną dobrowolną winą”. Pragnąc pogłębić swą wiedzę o życiu duchowym, przesiadywał nad każdą książką, która mu wpadła w ręce. A przyznać trzeba, że wybór lektury, jakkolwiek ograniczony, był wyjątkowo trafny. Przetrawił gruntownie *Traktat o miłości Bożej* św. Franciszka Salezego i prawie na pewno przeczytał kilka dzieł św. Jana od Krzyża. We własnej rodzinie starał się żyć jak żebrak, prosząc siostry o każdą rzecz, którą po-

⁵ Paweł otrzymał sakrament bierzmowania dopiero w 1719 r. po powrocie z wojska, czyli w wieku 25 lat. Jednak biskup de Gattinara przybył już poprzednio do Castellazzo w 1709 r. na wizytację pasterską, w czasie której udzielał bierzmowania. Nasuwa się więc przypuszczenie, że w 1709 r. Paweł nie mieszkał w Castellazzo (list od biskupa z Alessandrii, 29 maja 1782. *Bollettino*, t. 9, nr 4, s. 121).

trzebał, choćby to była kromka chleba. Otoczenie dowiedziało się niebawem, że uczynił ślub, którym zobowiązał się do czynienia wszystkiego, co mu ktokolwiek nakaże. Chcąc to obrócić w żart, zaczęto zabawiać się jego kosztem, wydając mu różne sprzeczne polecenia. Toteż zdrowy rozsądek Pawła szybko dał mu pojąć, że popełnił błąd i prosił o zamienienie tego ślubu na inny.

Żarliwy młody człowiek miał w owych latach poważne trudności ze znalezieniem kierownika duchowego, który by potrafił go zrozumieć. Pierwszym spowiednikiem był burkliwy stary proboszcz, niezbyt skłonny do cierpliwości wobec niezwykłych penitentów. Gdy z konfesjonału odzywał się jego podniesiony głos, ostro strofujący Pawła, ludzie czekający na swą kolej wymieniali znaczące spojrzenia. Pewnego razu nawet rozdając Komunię świętą, ostentacyjnie pominął Pawła, co wrażliwy młodzieniec odczuł szczególnie dotkliwie. Toteż Paweł zaczął myśleć o rozejrzeniu się za jakimś właściwszym spowiednikiem, ale odsunął tę myśl podejrzewając w niej pokusę. „Najwłaściwszym spowiednikiem dla mnie – uznał – jest właśnie ten, bo uczy mnie zginać kark”. Jednak sam proboszcz zorientował się wreszcie, że Paweł potrzebuje lepszego kierownictwa, aniżeli to, na które jego stać, i we właściwy sobie, bezceremonialny sposób doradził mu, aby się zwrócił gdzie indziej. Ojciec Hieronim, miejscowy kapucyn, na którego tym razem padł wybór Pawła, okazał się o wiele wnikliwszy, gdyż natychmiast rozpoznał, że ten młody człowiek potrzebuje mądrego spowiednika i skierował go do innego kapucyna, ojca Kolumbana, posiadającego wielkie doświadczenie w kierowaniu duszami. Paweł zwierzył się nowemu ojcu duchownemu z nadprzyrodzonych oświeceń, jakich doznał na modlitwie, a ojciec Kolumban utwierdził go w przekonaniu, że pochodzą one od Boga. W dowód uznania udzielił Pawłowi niezwykłego na owe czasy pozwolenia przystępowania codziennie do Komunii św.

Po przeniesieniu ojca Kolumbana do innego klasztoru w 1719 r., Paweł, mimo że postanowił dołożyć wszelkich starań, by nie pomylić się w wyborze swego spowiednika, nie mógł jakoś w Castel-

lazzo natrafić na odpowiedniego kapłana. Aż w końcu obrał sobie biegłego teologa, kanonika Cerutti z katedry w Alessandrii, choć wybór ten oznaczał konieczność wędrowania osiem mil — po cztery w każdą stronę — ilekroć chciał wybrać się do spowiedzi. Kanonik Cerutti okazał się początkowo bardziej jeszcze wymagający niż stary proboszcz. Pominąwszy milczeniem zwierzenia Pawła dotyczące jego modlitwy kontemplacyjnej, kazał mu powrócić do zwykłego, prostego rozmyślania, najlepiej o prawdach ostatecznych. Kazał mu czekać przed konfesjonałem dopóki nie wypowiada wszystkich pozostałych penitentów. Słowem, doświadczał go na różne sposoby, aż w końcu i on doszedł do wniosku, że Paweł jest wybraną duszą zasługującą na baczniejszą uwagę.

Paweł usiłował jak mógł pogodzić się z ograniczeniami narzucanymi mu przez okoliczności i czynić co się da. Wstąpił do Bractwa św. Antoniego i choć zaliczał się do najmłodszych jego członków, został wkrótce obrany jego przewodniczącym. Do jego obowiązków należało wygłaszanie krótkich nauk duchownych, co dla przeciętnego młodego człowieka stanowi zadanie, z którego rzadko kiedy potrafi się z powodzeniem wywiązać. Gdy udało mu się jednak opanować początkową treść, okazał się obiecującym mówcą. Jego praktyczna miłość bliźniego znalazła sobie inne jeszcze ujście; uczył dzieci katechizmu. Jednocześnie stał się czymś w rodzaju dobrego ducha wśród grona około dwudziestu kolegów, z których wielu zostało później księżmi i zakonnikami⁶.

Jego własne ćwiczenia duchowne stawały się coraz żarliwsze i zajmowały mu coraz więcej czasu. Jeden z przyjaciół Pawła zachował żywo w pamięci wspomnienie pewnego wigilijnego wieczora, kiedy udawszy się z nim do kościoła kapucynów przed zachodem słońca, dopiero dobrze po północy doczekał się chwili, gdy jego towarzysz oderwał się od modlitwy. Inny znów kolega, który z czasem wstąpił do kapucynów, wspominając jak Paweł

⁶ Sześciu czy ośmiu wstąpiło do serwitów, czterech do kapucynów, a inni do augustianów.

uczył go modlitwy myślniej, dodaje: „i pamiętam, że w tym względzie polegał najbardziej na nauce św. Franciszka Salezego, z którą był obeznany w sposób wręcz zdumiewający”⁷. Najbardziej jednak znamienne są wrażenia z tego okresu samego św. Pawła od Krzyża. Oto pod koniec życia, dręczony oschłościami i smutkiem wewnętrznym, przeżywał niejedną chwilę przygnębienia na wspomnienie młodzieńczej żarliwości dawnych dni:

„Ach, wydaje mi się, że zmyliłem drogę. Gdybym pozostał w świecie, może bym dostał zbawienia... W tamtych czasach pościłem siedem godzin dziennie na modlitwę, nie mówiąc już o całym szeregu innych ćwiczeń duchownych. W niedziele i święta zrywałem się o świcie i udawałem się do kaplicy swego bractwa. Po wzięciu udziału w nabożeństwach szedłem do głównego kościoła, gdzie zazwyczaj bywał wystawiony Przenajświętszy Sakrament i przez całych pięć godzin trwałem na klęczkach. Następnie wracałem do domu na obiad, ale natychmiast potem szedłem na nieszpory. Po nieszporach wybierałem się na przechadzkę po okolicy z innymi chłopakami, z którymi gawędziliśmy na różne pobożne tematy. Po powrocie ze spaceru znów udawałem się do kościoła kapucynów, gdzie spędzałem jeszcze jedną godzinę na rozmyślaniu. I dopiero wtedy powracałem do domu”⁸.

Po ludzku biorąc, taki tryb życia jawnie wskazywał na jeden tylko kierunek – na zakonne powołanie. I niewątpliwie myśl o zakonie musiała nawiedzać Pawła. Bez trudu mógł dokonać odpowiedniego wyboru w samym Castellazzo, gdzie aż trzy zakony: serwitów, augustianów i kapucynów miały swe klasztory. Cała rzecz w tym, że w umyśle Pawła zaczynały powoli, bardzo powoli rysować się pewne nowe ideały. Pociągało go ubóstwo i samotność, czyżby więc Bóg przeznaczał go do pustelniczego życia?

⁷ Druga część *Traktatu o miłości Bożej* św. Franciszka Salezego poświęcona jest głównie zagadnieniu modlitwy i mistycznego zjednoczenia duszy z Bogiem.

⁸ *Akta proc. kan.* 69, 65.

Czasem znów ożywiło się w nim wspomnienie okresu spędzonego w wojsku — czyżby rzeczywiście był powołany do duchowych bojów, do walki o zbawienie dusz? Wydawało się to zadaniem zbyt wielkim, by można mu było sprostać w pojedynkę. Czy nie warto więc pomyśleć o dobraniu sobie kilku towarzyszy, którzy by dopomogli w jego spełnieniu? Jakie miał jednak dane po temu, aby się go w ogóle podejmować? Przecież to jawna zarozumiałość, niedopuszczalne zadufanie w sobie. Nie. Musi jeszcze czekać i modlić się do czasu, gdy Bóg jakoś jaśniej wskaże mu właściwą drogę.

To zawierzenie Bogu w oparciu o modlitwę zostało wynagrodzone szeregiem oświeceń, ciągnących się na przestrzeni dwunastu następnych lat. Wezwania i przestrogi przygotowywały go stopniowo do tego, co miało kiedyś nadejść. Gdy pewnego razu, modląc się przed Najświętszym Sakramentem, uczuł w duszy płomienny przypływ miłości, usłyszał nagle głos wewnętrzny, który mówił: „Synu mój, kto lgnie do mnie, zbliża się do cierni”. Pograżonemu w głębokim skupieniu ukazał się anioł przynoszący mu złoty krzyż. I znów odezwał się głos Boży, ostrzegający go przed przyszłością: „Chcę uczynić z ciebie drugiego Hioba”. Ujrzał wtedy dyscyplinę o złotych rzemieniach, na której wypisane było to jedno słowo: „Miłość”. I zrozumiał, że w jakiś sposób jeszcze przed nim zakryty będzie musiał kiedyś wiele wycierpieć. Jak dotąd jednak wszystkie wypowiedzi Boże były jeszcze bardzo niejasne. Nie uświadamiał sobie ku czemu Bóg zamierza go prowadzić, jakkolwiek nie pozostawił mu żadnych wątpliwości, że droga do celu będzie usłana cierniem, będzie wiodła przez cierpienie, które stanowić będzie jakąś ostateczną próbę jego cierpliwości, wytrzymałości duchowej i miłości do Chrystusa Ukrzyżowanego.

Oto w 1720 r. wszystkie jego niepewności rozwiąły się i droga przyszłości stała się jasna jak słońce. Było to u schyłku lata, około pory żniw⁹. Paweł, w głębokim skupieniu, po przyjęciu Komunii

⁹ Święty zaznacza, że zapomniawszy zanotować sobie dzień i miesiąc, nie jest w stanie podać dokładnej daty.

św. powracał z kościoła kapucynów do domu, gdy nagle, doszedłszy do rogu ulicy przeżył uniesienie duchowe. Ujrzał samego siebie przybranego w czarną opończę z białym krzyżem na piersi: pod krzyżem widniało wypisane białymi literami święte imię Jezus. Jednocześnie usłyszał głos mówiący: „To wskazuje jak czyste i bez zmazy powinno być serce, które ma nosić wyryte na sobie święte imię Jezus”. Gdy widzenie znikło, oczy jego napełniły się łzami. Wkrótce potem tunika opatrzona imieniem Jezus i białym krzyżem została mu dana i Paweł przepełniony radością przycisnął ją do serca. W szczegółowym sprawozdaniu z tego widzenia, napisanym następnego roku z polecenia biskupa, Paweł usiłował je starannie i drobiazgowo przedstawić: „Nie widziałem żadnego cielesnego kształtu, takiego jaki posiada zwykły człowiek. Nie, ale widziałem to w Bogu. Dusza wie, że to Bóg działa... lecz w sposób tak wzniosły, że bardzo trudno to wytłumaczyć”.

Na skutek tego widzenia pragnienie zebrania towarzyszy w celu założenia nowego w Kościele zgromadzenia – przybrało wyraźniejszą i jaśniej określoną postać. Paweł zamierzał nadać nowemu zakonowi nazwę „Ubodzy Jezusa” i już zarysował się w jego umyśle charakter reguły, jaka go będzie obowiązywać. W późniejszym widzeniu ukazała mu się Matka Najświętsza przyodziana w tę samą czarną szatę, jaką ujrzał poprzednio. Nosila na piersi znak Męki Pańskiej, białe serce, nad którym wznosił się krzyż na czarnym tle. W środku serca wypisane były białymi literami słowa *Jesu Xpi passio* z trzema gwoździemi¹⁰. Najświętsza Panna wyjaśniła Pawłowi, że jest ubrana czarno na znak żałoby po śmierci Syna i dodała: „Musisz założyć zgromadzenie, którego członkowie będą tak samo odziani i w którym będzie trwała nieustanna żałoba z powodu męki i śmierci mego umiłowanego Syna”.

Od tej chwili wszelkie wątpliwości ustąpiły bezpowrotnie. Rozwiały się przed oczami Pawła cienie bolesnej rozterki, a zastą-

¹⁰ IESU XPI PASSIO: „Męka Jezusa Chrystusa”. XPI – składa się z trzech greckich liter tworzących skrót imienia Chrystus.

piło je niezawodne światło świadomości swego powołania. Nie wiedział jeszcze gdzie i nie wiedział też kiedy nowe zgromadzenie doczeka się założenia. Nie wiedział nawet w jaki sposób należy zabrać się do takiego dzieła. Trudności będą liczne i ogromne — co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Wiedział jedynie, że wolę Bożą trzeba wypełnić i w urzeczywistnienie tego Bożego zamysłu włączyć wszystkie siły, na jakie go stać. I że trzeba zabrać się do tego zaraz, zabrać się nie zwlekając. Bo miał już dwadzieścia sześć lat, a roboty będzie wiele. Było oczywiste, że pierwszym krokiem, jaki należy uczynić, jest przedstawić całą sprawę biskupowi i uzyskać jego aprobatę dla nowego rodzaju życia, który został mu tak wyraźnie objawiony.

II PUSTYNNNE SZLAKI 1720–1728

Do biskupa di Gattinara¹, ordynariusza Alessandrii, musiały już nieraz docierać pogłoski dotyczące niezwyklego młodzieńca z Castellazzo, który teraz prosił go o posłuchanie, gdyż na widok wchodzącego gościa bystre jego oczy rozbłysły zainteresowaniem. Kilka minut później, Paweł pokonawszy pierwszy odruch obawy, klęczał u boku biskupa składając spowiedź z całego życia. Zakończył ją przedstawieniem położenia, w jakim się obecnie znalazł i zapytaniem co powinien teraz uczynić. Biskup siedząc w swym wysokim, sztywnym fotelu słuchał uważnie. W końcu poradził Pawłowi, aby spisał dokładnie wszystkie nadprzyrodzone oświecenia, których, jak mu się zdawało, doznał. Zresztą skontaktowanie się z ojcem Kolumbanem przebywającym w klasztorze kapucynów w Ponte Decimo koło Genui, będzie wymagało trochę czasu. W ostatecznym wyniku tej pierwszej rozmowy biskup postanowił zezwolić Pawłowi na przywdzianie czarnego pokutnego habitu, ujrzanego w widzeniu, lecz bez emblematów Męki Pańskiej.

¹ Franciszek Maria Arborio di Gattinara, urodzony w Pawii w 1658 r. wstąpił do zgromadzenia barnabitów w wieku lat 15. Został mianowany biskupem Alessandrii w 1706 r. 21 lat później został arcybiskupem Turynu, gdzie zmarł w 1743 r.

Paweł powróciwszy do domu popadł jednak w nową rozterkę. Jego obawy wzmagaly się w miarę, jak przybliżał się wyznaczony dzień otrzymania habitu. Ta oczyszczająca próba, którą Bóg zsyłał, by go tym lepiej przygotować do nowego życia, stała się powodem wielu trwożnych niepewności skołatanego serca. Jeszcze dwadzieścia lat później wspomnienie tego stanu duchowego było tak żywe, że mógł go szczegółowo opisać w liście do pewnego przesadnie nieśmiałego postulanta:

„Gdybyś wiedział, jakich to napaści doznawałem, zanim obrałem rodzaj życia, jaki teraz wiodę. Zły duch podsuwał mi przeróżne obawy. Byłem przejęty wielkim współczuciem dla rodziców, których pozostawiałem w skrajnej biedzie, mimo, że pokładali we mnie jedyną nadzieję, jaką na tym świecie mieli. Doznawałem wewnętrznego smutku, przygnębienia, zwątpień. Zdawało mi się, że nigdy nie potrafię wytrwać w moim powołaniu. Diabeł starał się mnie przekonać, że się pomyliłem, że przecież mogę służyć Bogu także w inny sposób, że takie życie nie jest dla mnie i wiele jeszcze rzeczy, które pomijam milczeniem. Na domiar nieszczęścia opuściła mnie wszelka pobożność. Odczuwałem zupełną oschłość i doznawałem przeróżnych doświadczeń. Drażnił mnie nawet dźwięk dzwonów kościelnych. Zdawało mi się, że wszyscy są szczęśliwi, tylko nie ja. Nie wyobrażam sobie, abym potrafił kiedykolwiek opisać wszystkie te napaści, które stawały się coraz silniejsze w miarę, jak zbliżał się czas, gdy miałem przywdziać habit i opuścić mój biedny rodzinny dom. Wszystko to jest czystą prawdą, a było jeszcze mnóstwo innych rzeczy, których nie podobna opisać”².

21 listopada 1720 r. Paweł pożegnał się uroczyście ze wszystkim, co stanowiło dotychczasowy jego świat. Odwiedził po kolei wszystkie kościoły w Castellazzo, pożegnał się z braćmi i siostrami, a potem ukląkł prosząc o błogosławieństwo rodziców. Wicczorem odmówił *Te Deum*, a potem, ponieważ odtąd miał być już

² *Listy*, t. I, s. 410.

pokutnikiem, dodał jeszcze *Miserere*. Nazajutrz — a był to piątek — wczesnym rankiem wyruszył do Alessandrii, gdzie dowiedział się, że biskup niespodziewanie wyjechał na cały dzień. Pod wieczór jednak biskup wrócił i skromna uroczystość mogła się odbyć. Paweł opuścił swe miejsce u stóp ołtarza, przyodziały w czarny habit, stanowiący częściowe ucieleśnienie jego wizji. Był to strój niewątpliwie pokutny, a jego zgrzebna, szorstka tkanina mogła śmiało uchodzić za włosiennicę. Uzupełniał go tylko sznur, którym był przepasany i nic więcej. Ani płaszcz czy innego wierzchniego odzienia, ani nakrycia głowy, ani obuwia. Paweł chodził odtąd dosłownie boso. Tego dnia wyrzekł się również swego nazwiska. Nie będzie już odtąd Pawłem Daneo. A o wiele później stanie się Pawłem od Krzyża³.

Na życzenie biskupa Paweł natychmiast powrócił do Castellazzo, ale już nie do swego domu. Dla odbycia czterdziestodniowych rekolekcji, od których miał rozpocząć swe nowe życie, wyznaczono mu izdebkę przy zakrystii kościoła św. Karola. Było to małe, trójkątne pomieszczenie, wilgotne i źle oświetlone, pozbawione wszelkich wygod, oraz — zwłaszcza o tej porze roku — przeraźliwie zimne. Pożywienie Pawła składało się jedynie z chleba i wody, a poślanie jego stanowiło kilka garści słomy na gołej posadzce, gdzie przesypiał zaledwie kilka godzin. O północy wstawał, by odprawić jutrznię i rozmyślanie, z rana służył do Mszy św. i przyjmował Komunię świętą.

W swym dzienniku rekolekcyjnym notował różne szczegóły ze swego domowego życia, swe myśli, pokusy, doświadczenia, przeżycia w czasie modlitwy. Jak ongiś św. Benedykt w Subiaco, a św. Ignacy Loyola w Manresie, Paweł z nieugiętą stanowczością odrywał się od świata, gotując się na przyjęcie z rąk Boga reguły życia mającej stanowić kiedyś drogę całych pokoleń przyszłych apostołów. Nieustępliwa modlitwa o natchnienie została nagro-

³ 22 listopada 1720 r. uważany jest za dzień narodzin Zgromadzenia Krzyża i Męki Pańskiej.

dzona przelotną wizją, w której ujrzał założycieli wielkich zakonów, wstawiających się za nim w niebie. Wzmocniony i zachęcony tym widzeniem Paweł przystąpił 2 grudnia do napisania pierwszych postanowień swojej reguły, a pięć dni później z westchnieniem wdzięczności odłożył pióro. Praca była ukończona. Jakim sposobem zdołał tak poważne zadanie wykonać w tak krótkim czasie? Paweł wyjaśnia to w końcowym fragmencie swego tekstu: „Ponieważ natchnął mnie Bóg do tego już dawno i otrzymałem niejeden nakaz, aby to czynić, rozpocząłem dzieło Bożej łaski. Chciałbym, aby wiadano, że pisząc, pisałem tak szybko, jakby mi ktoś dyktował, czułem jak słowa wypływają mi z serca. Piszę to, aby było wiadome, że stało się tak za szczególnym natchnieniem Bożym, gdyż ja sam jestem tylko ułomnością i niewiedzą. Jednakże we wszystkim poddaję się orzeczeniom moich przełożonych – Paweł Franciszek, niegodny sługa ubogich Jezusa”⁴.

Paweł udał się do Alessandrii, by przedłożyć biskupowi swoje dzieło. Ale monsinior Gattinara nie był skłonny do pośpiechu. Powściągał zapał młodego człowieka, polecając mu, aby wpieryw przedstawił swą regułę o. Kolumbanowi i zasięgnął jego zdania. Paweł bez wahania wybrał się w drogę, nie bacząc na to, że dzieli go od Genui około czterdziestu mil górskiej drogi. Szlaki były oblodzone, na szczytach leżały grube czapy śnieżne, w głębi wąwozów wiatr jęczał żałośnie, w leśnym gąszczu wyły złowroźnie wilki. Nic jednak nie zdołało go odstraszyć. Niosąc swój cenny rękopis bezpiecznie schowany, brnął dalej, a jego bose stopy pozostawiały czerwone ślady na śniegu. Aż w końcu przebrała się miara wytrzymałości. Niedożywione ciało, osłabione jeszcze długotrwałym postem, odmówiło posłuszeństwa, jakkolwiek ożywiający go duch nie poddawał się. Zataczając się na oślepie wśród ciemności, czuł, że jeśli nie zdoła dotrzeć do Genui, to przyjdzie mu umrzeć na drodze. Wyratował go przechodzący patrol policjantów. Usłyszawszy jego wołanie pospieszili mu z pomo-

⁴ Strambi, *Vita del V. Servo di Dio P. Paolo della Croce*, rozdz. V, s. 21.

cą. Szorstka troskliwość, z jaką zmusili go do przyjęcia pożywienia, była istotnym miłosiernym uczynkiem, który do końca życia z wdzięcznością wspominał.

Niebawem mógł donieść biskupowi, że ojciec Kolumban w pełni zaaprobował jego regułę. Monsinior Gattinara również podzielał to zdanie. Ale co należało dalej robić? Biskup rozwiązał tę trudność udzielając oficjalnie młodemu człowiekowi tytułu pustelnika. Wiele przypadków uzasadniało takie zaszeregowanie, gdyż w owych czasach pustelnicy byli jeszcze dość liczni. Po pewnych wahaniach biskup wyznaczył Pawłowi jako miejsce stałego pobytu miłą, licho wyposażoną pustelnię przy kościele św. Stefana na krańcach Castellazzo. Głównym obowiązkiem młodego pustelnika miało być nauczanie katechizmu przy kościele św. Karola w samym mieście. Paweł nabył już doświadczenia w tej pracy, więc nie powinno być z tym żadnych kłopotów. Ten jasno nakreślony program odpowiadał znakomicie praktycznemu usposobieniu Pawła. Napisał do biskupa dziękując mu za przydzielenie tej samotni, „która jest istnym rajem... Nie mogłbym znaleźć bardziej odpowiedniego, ustronnego i świętego miejsca, chyba żebym udał się na pustynię”.

Radość jego wzrosła jeszcze, gdy przyłączył się do niego jego brat Jan Chrzciciel, prosząc, aby mu również wolno było osiąść w pustelni i nosić habit. Paweł wywiesił za drzwiami koszyk, na którym widniał niezdarny napis: „Jałmużny dla ubogich Jezusa”. Ofiary żywnościowe jednak były rozdzielane między ubogich, a tylko jedną suchą kromkę chleba przechowywał Paweł na codzienny posiłek. Jakiś czas igrał nawet z myślą, czy nie warto by jadać tylko co drugi dzień. W końcu odrzucił ją jako niewykonalną. Samotność pociągała go nieprzeparcie, ale zamiłowanie to należało pokonać, by wypełnić obowiązki zlecone przez biskupa. Nie było rzeczą łatwą znieść krytyczne lub ironiczne spojrzenia, gdy w pewien niedzielny poranek szedł ulicami Castellazzo potrząsając małym dzwonkiem i wołając głośno: „Na katechizm w kościele św. Karola”. To niecodzienne zaproszenie szybko spot-

kało się z odzewem wśród dzieci. Poczęły one tłumnie napływać do kościoła. Nie trwało długo, gdy przyłączyli się również dorośli parafianie i wkrótce nauki katechizmowe miały dość spore grono słuchaczy.

Biskup di Gattinara zachęcony tym postanowił, nie oglądając się już na nic, zlecić Pawłowi głoszenie kazań w czasie triduum przed rozpoczęciem Wielkiego Postu. To już była niewątpliwie nowość, gdyż pustelnik od św. Stefana przecież pozostawał wciąż człowiekiem świeckim, który nie otrzymał nawet tonsury. Ale równie zdumiewające były i wyniki: tego roku nie było już w Castellazzo żadnych gorszących szaleństw zapustnych, żadnych tańców ani niebezpiecznych zabaw. A – co dziwniejsze – nikt nie uskarżał się na tę zmianę.

Wszystko to było z pewnością bardzo pocieszające, ale nie posuwało naprzód sprawy założenia nowego zgromadzenia. Paweł miał jeszcze przez jakiś czas nadzieję otworzenia nowego klasztoru w Castellazzo. Nie był to pomysł aż tak nierealny, jak mogło się zdawać. Czyż Franciszek z Asyżu nie rozpoczął swego dzieła od rodzinnego miasta? Nie zabrakłoby też kandydatów, gdyż Paweł był dobrze znany w Castellazzo i niejeden już nagabywał go w tej sprawie. Biskup jednakże zajął w tym względzie stanowisko jednoznaczne i bezapelacyjne. Założenie nowego zgromadzenia jest sprawą, którą może rozstrzygnąć wyłącznie Stolica Apostolska, nie zaś ordynariusz diecezji. I tak posunął się już dość daleko – prawdę mówiąc aż nazbyt daleko – pozwalając Pawłowi na głoszenie kazań. Trzeba przyznać bowiem, że bez względu na powodzenie tych kazań, wywołały one wiele nieprzychylnych komentarzy. Lepiej będzie poniechać ich na pewien czas i posiedzieć sobie spokojnie w pustelni. Toteż następnego roku nie było triduum i karnawał szalał po dawnemu.

Skoro Castellazzo zdawało się być pozbawione widoków na przyszłość, Paweł postanowił pójść za radą biskupa i postarać się o bezpośrednie zatwierdzenie przez Stolicę Apostolską. W maju został właśnie wybrany nowy papież Innocenty XIII, co mogło

stanowić okoliczność sprzyjającą. Paweł zaopatrzony w serdeczny list polecający od biskupa udał się do Genui, skąd we wrześniu odpłynął okrętem do Civitavecchia. Przyjemnie było czuć pod stopami kołyszący się pokład, spoglądać na wzdęte żagle, czuć podmuch wiatru na policzkach, patrzeć na ciągnący się w dal spieniony ślad statku, ale nade wszystko cudowna była myśl, że oto płynie do Rzymu, do celu swych pragnień. Raptem 8 września wiatr ustał i okręt stanął w miejscu na szklistej tafli morza. Od strony brzegu wysuwał się w tym miejscu wyniosły przylądek, który marynarze określali jako Monte Argentario. Gdzieś w pamięci Pawła odezwały się słowa usłyszane kiedyś podczas modlitwy przed statuą Matki Bożej: „Pawle, przybądź na Monte Argentario, jestem tam zupełnie sama”. Z pokładu wpatrywał się w urwisty cypel. Jak by się tu dowiedzieć czegoś więcej o tym Monte Argentario?

Podróż do Rzymu zakończyła się zupełnym niepowodzeniem, gdyż nie udało się Pawłowi dotrzeć do wnętrza pałacu papieskiego na Kwirynale. Z właściwą sobie prostotą wszedł w pierwsze z brzegu drzwi, na które natrafił i zapytał nieśmiało, czy mógłby uzyskać widzenie z papieżem. Oburzony odźwierny obrzucił go spojrzeniem, w którym odmalowało się przerażenie i odraza na widok tego wysokiego, chudego młodzieńca o zmizerniałej twarzy, gołej głowie i bosych nogach, przybranego w jakiś dziwny czarny strój, który chyba nie mógł w żadnym razie być zakonnym habitem. Po czym wrzasnął: „Wynoś mi się w tej chwili! Dość już tych łachmaniarzy kręci się tu od rana do nocy”. Drzwi zatrzaśnięły się przed Pawłem, który odszedł zdruzgotany. Widocznie jeszcze nie czas na zatwierdzenie jego marzenia. Przed opuszczeniem Rzymu uczynił jednak pewien bardzo znamieny krok. Oto udał się do bazyliki Panny Maryi Większej i tam ukląkszy przed obrazem Matki Bożej ślubował, że będzie szerzył nabożeństwo do Jezusa Ukrzyżowanego, składając tym samym po raz pierwszy to ślubowanie, mające stać się z czasem dodatkowym czwartym ślubem każdego pasjonisty. Powierzył przyszłe zgromadzenie

miłościwej trosce Maryi, gdyż w duchu ani przez chwilę nie wątpił, że zostanie ono kiedyś założone. Po czym opakowawszy starannie swą regułę, pełen otuchy ruszył w drogę do Monte Argentario.

Góra okazała się o wiele odpowiedniejsza niż się spodziewał. Samotność zupełna, przepiękny krajobraz, nawet opuszczona pustelnia pod wezwaniem Zwiastowania, jak gdyby czekała tylko na jego przybycie. Niczego tu nie brakowało. Kojąca cisza Monte Argentario otuliła mu duszę, która odpowiedziała na jej wołanie żarliwym pragnieniem modlitwy. Minęło kilka dni, aż oto nagle przypomniał sobie, że przecież Jan czeka na niego cierpliwie w Castellazzo. Przypomniały mu się również dziwne słowa, jakie Jan powiedział żegnając się z nim przed odjazdem: „Jedź, skoro musisz, ale beze mnie nigdy nie będziesz szczęśliwy”. To była zupełna prawda. Jan musi przybyć na Monte Argentario.

Schodząc w dół krętą, wąską ścieżką. Paweł z właściwym sobie realizmem zastanawiał się nad sposobami osiedlenia się na górze. Potrzebne było to do tego z pewnością pozwolenie biskupa. Ale pod władzą którego biskupa znajdowała się zapuszczona pustelnia ukryta w tym odległym zakątku? Zasięgnąwszy języka w Orbetello, miasteczku położonym u stóp góry, dowiedział się, że miejscowym ordynariuszem jest biskup Sovany, monsinior Fulvio Salvi⁵. W czasie audiencji biskup okazał się łaskawy, ale powściągliwy. Nie miał nic przeciwko osiedleniu się Pawła na Monte Argentario, jednakże pod warunkiem, że otrzyma na to pisemne zezwolenie swojego biskupa di Gattinara.

Trzeba przestrzegać przepisów prawnych. Pustelnik nie jest włóczęgą, toteż nawet jemu nie wolno przenosić się bez pozwolenia z jednej diecezji do drugiej. Paweł pośpieszył czym prędzej do własnego biskupa. Korespondencja, która się w następstwie wywiązała między obu ordynariuszami, doprowadziła do uzgod-

⁵ Była to właściwie jedna, łączna diecezja Sovana-Pitigliano, niektórzy autorzy jednak określają ją wyłącznie ostatnim imieniem.

nienia poglądów. Wolno Pawłowi osiedlić się na Monte Argentario, ale może zabrać ze sobą jednego tylko towarzysza. Towarzyszem tym, rzecz jasna, mógł być jedynie Jan Chrzyciel. Wobec tego, dnia 28 listopada 1721 r. i on również otrzymał z rąk biskupa di Gattinara czarną pokutną tunikę. Lecz zbliżała się zima, co wymagało odłożenia wyjazdu. Opuścili więc Castellazzo dopiero w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu.

Przez rok z górą obaj bracia przeżywali na Monte Argentario spełnianie swych marzeń. Wiele lat później św. Paweł od Krzyża wspominał ten okres jako „najszcześniejsze czasy w moim życiu”. Było to niewątpliwie pionierskie przedsięwzięcie, ale też i materialne ich potrzeby były nader skromne. Codzienna wędrownia do lasu po chrust, zaczerpnięcie wody u źródła, przełknięcie odrobiny świeżej sałaty lub garści fasoli i kilku dzikich winogron, a cały pozostały czas mógł być swobodnie przeznaczony na modlitwę. Często przez trzy lub cztery dni nie mieli w ustach chleba, bo przecież skąd tu na pustyni zdobyć chleb? Od czasu do czasu tylko jakiś pomocny przyjaciel przynosił bochen i butelkę wina, którą przechowywali na niedzielę. Najpoważniejszym problemem było gotowanie. Praktyczny Paweł wymyślił urządzenie do smażenia ryb, które im niekiedy przysyłano z pobliskiej wsi nadbrzeżnej. Był to ruszt sporządzony z patyków... Jednak, niestety, pomysł okazał się chybiony. Patyki się zajęły i trzeba było zwęglone rybki wygrzebywać z żaru.

Cóż jednak znaczyły braki i niepowodzenia, skoro tak nikłym kosztem pozwalały zdobyć bezcenny dar kontemplacji? W modlitwie i pokucie, samotności i ciszy, ich uniesione zachwyceniem dusze wlatywały ku Bogu. O północy wstawali na jutrznię i rozmyślanie. Krótkie godziny spoczynku kończyły się o świcie, gdy świergot ptactwa budził ich ponownie na modlitwę. Na Mszę św. schodzili do Orbetello lub do Port'Ercole u stóp przeciwnielego zbocza. O spowiedź i kierownictwo duchowe mogli zwrócić się do ojca gwardiana klasztoru franciszkanów w Orbetello. W tym to właśnie okresie św. Paweł od Krzyża doznał wyniesienia na szczy-

towe wyżyny kontemplacji wlanej, dostępując nadprzyrodzonego przywileju zaślubin mistycznych. Mimo tak niezwykłych łask, doszedł jednak w końcu do wniosku, że jeśli zamierzone zgromadzenie ma stać się rzeczywistością, to narzuca się konieczność ponownego nawiązania łączności ze światem. Sposobności do apostolskiej pracy były ograniczone do głoszenia niekiedy krótkich i bardzo prostych nauk o prawdach wiary wśród ubogich okolicznych rybaków. Monsinior Salvi nie posiadał tej przedsiębiorczej śmiałości co biskup di Gattinara i nie przejawiał żadnej ochoty do korzystania z usług pustelników. Niech lepiej siedzą sobie spokojnie w swej samotności i zażywają do woli życia kontemplacyjnego. Latem 1723 r. nadeszło z dalekiego południa niespodziewane zaproszenie. Biskup z Gaety, monsinior Pignatelli, poszukiwał kandydatów gotowych przyłączyć się do grona pustelników, które powstało w jego diecezji. Należał do tego grona Antoni Schiaffino, który był niegdyś towarzyszem Pawła z Castellazzo i chciał nawet zamieszkać z nim w samotności przy kościele św. Stefana. Paweł w mgnieniu oka ogarnął wszystkie możliwości, jakie mogły wynikać z przyjęcia zaproszenia. Może była to właśnie tak długo oczekiwana sposobność założenia zgromadzenia?

Było rzeczą jasną, że jakoś nikt nie kwapił się do przybycia na Monte Argentario. Kto wie zatem, czy Gaeta nie okaże się bardziej sprzyjającym terenem? Mimo to nie miał najmniejszej ochoty opuszczać swej umiłowanej pustelni – sprawa była warta rozpatrzenia. Trzeba spełnić wolę Bożą, a to zaproszenie wydawało się odpowiedzią na modlitwy, może nawet jawnym wyrazem woli Bożej. Biskup z Sovany chętnie udzielił braciom pozwolenia na udanie się do Gaety, zaopatrując ich w list polecający, w którym nazwał ich „Ubogimi Jezusa”. Jest to pierwszy i jedyny zresztą raz, kiedy ta nazwa figuruje w oficjalnym dokumencie.

Po przyjeździe do Gaety, monsinior Pignatelli pragnął zatrzymać braci u siebie jako swych gości. Ale Paweł i Jan nie mogli jakoś zadomowić się w wygodnym, choć skromnym jego domu. Z każdym dniem coraz silniej tęsknili do samotności, aż

w końcu wyruszyli do pustelni Matki Bożej od Wykupu Niewolników, położonej o milę drogi od miasta. Na tym porośłym oliwkami wzgórzu, wznoszącym się nad kryształową, rozmigotaną w słonecznym blasku tanią zatoki, bracia powrócili do trybu życia z czasów pobytu na Monte Argentario, do pokuty, modlitwy, umartwień ciała, radości ducha. Biskup Pignatelli, bardziej liberalny aniżeli monsinior Salvi, pozwolił im na wygłaszanie nauk w katedrze, doglądanie chorych i czuwanie przy konających. Posunął się z czasem jeszcze dalej, polecając Pawłowi głoszenie rekolekcji przed święceniami dla alumnów seminarium – co dało powód do wielu komentarzy w diecezji. Ale miesiące mijały i Gaeta zaczęła wydawać się Pawłowi takim samym ślepym zaułkiem jak i Monte Argentario. Nie było żadnych widoków na zwerbowanie pustelników jako adeptów przyszłego zgromadzenia. Paweł jednak postanowił umocnić się w cierpliwości i nie tracić nadal nadziei.

Jesienią nikły płomyk rozświetlił ciemny widnokrąg. Biskup Troi, monsinior Cavalieri⁶ od dawna już pragnął założyć nowe zgromadzenie zakonne. Jednak pierwsza próba przed czterema laty zakończyła się niepowodzeniem z powodu nagłej śmierci ojca Ludwika Marii Calco, dominikanina, w którym biskup pokładał wszystkie swe nadzieje. Ledwo projekt zdążył przybrać realny kształt, już trzeba było zeń zrezygnować. Monsinior Cavalieri znany był powszechnie ze świętobliwego życia, co nie przeszkadzało, że umysł miał zarazem bystry i dalekowzroczny, dużo realizmu i ogromne doświadczenie. Zapragnął więc dopomóc Pawłowi, którego marzenia dobrze były mu znane. Połączenie wysiłków może się okazać korzystne dla obu stron, toteż monsinior Cavalieri zaprosił Pawła do Troi, nie omieszkawszy mu przypomnieć, że wola Boża objawia się nie tylko w rozkazach przełożonych, ale i za pomocą sprzyjających okoliczności.

⁶ Biskup Cavalieri był rodzonym wujem św. Alfonsa Liguori.

Serdeczna przyjaźń została szybko nawiązana i już niedługo po przybyciu Pawła, biskup Cavalieri usłyszał od niego całą historię nieudanej podróży do Rzymu. Że zaś posiadał wielkie doświadczenie w sprawach organizacyjnych Kościoła, zaczął od udzielenia Pawłowi kilku cennych wskazówek dotyczących sposobu, w jaki Rzym załatwia takie sprawy. Przede wszystkim nie ma co marzyć o natychmiastowym otrzymaniu pełnego zatwierdzenia. Rzym woli zawsze postępować ostrożnie, stopniowo i bez pośpiechu. Trzeba więc postarać się na początek o zwykłe pozwolenie zgromadzenia kilku towarzyszy, a następnie znaleźć jakiegoś życzliwego biskupa, który by ofiarował jakiś klasztor w swej diecezji na pierwszą fundację. Nakreśliwszy w ten sposób plan postępowania, monsinior Cavalieri nie pozostawił Pawła w niepewności co do wniosku, jaki powinien z tego wyciągnąć. Oto jeśli Paweł gotów jest raz jeszcze spróbować szczęścia w Rzymie, on sam gotów jest okazać się owym życzliwym biskupem.

Paweł wyruszył więc po raz drugi do Rzymu, należycie pouczony, że nie należy tam zaczynać od wizyt w pałacu papieskim. Był to rok jubileuszowy 1725 i obydwu braciom zależało ogromnie na zyskaniu odpustu i otrzymaniu błogosławieństwa nowo wybranego papieża Benedykta XIII. Uzbrojeni w pismo biskupa dotarli do Wiecznego Miasta. W bazylice św. Piotra, gdzie swym niespotykanym strojem wyróżniali się wśród pątniczego tłumu, dosięgnął ich niebawem przenikliwy wzrok rzymskiego prałata. Monsinior Marcelli Crescenzi był niewątpliwie człowiekiem o dobrym sercu, ale zarazem niezmiernie wszystkiego ciekawym. Zapragnął tedy z miejsca dowiedzieć się czegoś bliższego o obu braciach i o powodach, które ich tu sprowadziły. Jego sposób mówienia polegał na wypowiedaniu samych zdań pytających. Kto? Dlaczego? Kiedy? Gdzie? Jak? Paweł prostodusznie odpowiadał na grad pytań, ale Jana Chrzciela rozdrażnił ten szeptany dwugłos. Dopiero gdy fioletowy biret nareszcie znikł im z oczu, a obaj bracia wynurzyli się z chłodnego półmroku na rozgrzany słońcem plac, Jan przemówił strofując ostro brata za rozmawianie w koś-

ciele. Paweł bronił się dość miękko powołując się na miłość bliźniego i zwykłą uprzejmość, nie mówiąc już o szacunku należnym prałatowi. Wypadek ten uwydatnia jaskrawo różnicę pomiędzy obu braćmi. Jan bowiem był surowym, wymagającym i skłonnym do rygoryzmu, gdy natomiast Paweł był niezmiennie i wobec każdego pełen uprzejmości, życzliwości i względów.

To przypadkowe spotkanie okazało się brzemienne w niespodziewane następstwa. Oto monsinior Crescenzi, cały jeszcze przejęty usłyszanymi nowinami i zawsze chętny do rozmowy, spotkał swego przyjaciela, kardynała Corradini. Kardynał Corradini zaś miał pewne powody do zainteresowania się usłyszanymi wieściami. Jeśli bowiem monsinior Crescenzi wśród swych licznych pytań wyraził pytanie o to, czym bracia zajmują się w wolnych chwilach, to z pewnością usłyszał od Pawła zgodną z prawdą odpowiedź: doglądamy chorych. Bo też istotnie ich praktyczna i czynna miłość bliźniego skłaniała ich do spędzania wielu godzin w najuboższych dzielnicach miasta, gdzie wyszukiwali biedaków, których nikt inny nie odwiedzał i nie pielęgnował. Toteż kardynał po wysłuchaniu opowiadania monsiniora pokiwał głową w zamysleniu i zapragnął dowiedzieć się nieco bliższych szczegółów o obu pielgrzymach. Budował on bowiem w owym czasie nowy szpital pod wezwaniem św. Gallikana i rozglądał się właśnie za odpowiednim personelem. Monsinior Crescenzi, uradowany, że może okazać się pomocny w tej sprawie, przedstawił obu braci kardynałowi, na którym szczerze Pawła, jego uderzająca prawda, jak również jawna świątobliwość wywarły ogromne wrażenie. Kardynał zaofiarował się dopomóc braciom w osiągnięciu ich pragnień, uczynić wszystko, aby mogli zobaczyć się z papieżem. Nie będzie to oczywiście żadna oficjalna audiencja, ale jakieś spotkanie da się na pewno urządzić.

Gdy miejsce spotkania zostało nareszcie wyznaczone – kościół Santa Maria in Navicella – Paweł doznał wrażenia, że chyba nigdy nie doczeka się tej upragnionej chwili i pilnie przemyślał nad sposobami przedstawienia swej sprawy. Tego ranka bracia zerwali

się o świecie i czekając w kościele, modlili się żarliwie o pomyślną odpowiedź. Po przybyciu papieża jednak, gdy uklękli by otrzymać błogosławieństwo, Paweł nie był w stanie słowa przemówić. Wszystkie starannie przygotowane zdania gdzieś się rozpięchły, czuł w głowie zupełną pustkę. Wiedział tylko, że oto klęczy przed Namiestnikiem Chrystusowym i ta myśl zawładnęła nim bez reszty.

Ojciec święty domyślając się przyczyny jego milczenia, łagodnymi słowami postarał się dodać mu otuchy. Wówczas Paweł zebrawszy całą odwagę, na jaką mógł się zdobyć, pokrótce zarysował swój plan przyszłego zgromadzenia i ostatkiem tchu zapytał, czy mógłby otrzymać pozwolenie zbierania towarzyszy. Tak bardzo wiele zależało od tego, jaką otrzyma odpowiedź. Jego wzruszenie było tak widoczne, że papież bez wahania przychylił się do jego prośby. Było to co prawda tylko ustne zezwolenie, ale pochodziło od najwyższej władzy na ziemi. Rzym się wypowiedział. Stolica Święta opatrzyła wymarzony ideał Pawła pierwszą pieczęcią uznania.

Po takim osiągnięciu dłuższe pozostawanie w Rzymie wydawało się bezcelowe. Bracia pożegnali się więc z kardynałem, który polecił im, aby nie zapomnieli stawić się, gdy nowy szpital będzie już wykończony. Wypadalo jeszcze przed odjazdem złożyć wizytę biskupowi Pignatelli, który właśnie przybył do Rzymu z Gaety na rok jubileuszowy. Bo przecież trudno nie podzielić się z nim pomyślną nowiną. Wydaje się, iż te odwiedziny wpłynęły na zmianę projektów Pawła, udał się bowiem z powrotem nie do Troi, lecz do Gaety, gdzie wobec otrzymania aprobaty Ojca św. mogły być teraz pewne widoki powodzenia. Ponadto sytuacja w Troi była dość zagmatwana i drażliwa. Paweł czuł się ogromnie zobowiązany i wdzięczny biskupowi Cavalieri za jego życzliwość i poparcie, które stały się dla niego nie lada pomocą. Zarazem jednak nie przymykał oczu na fakt, że zamierzenia biskupa całkowicie różniły się od jego własnych. Monsiniorowi Cavalieri przyświecał bowiem cel czysto lokalny – potrzeba podniesienia poziomu miejscowego, diecezjalnego duchowieństwa.

I w tym właśnie celu pragnął założyć zgromadzenie kapłanów. Czy takie założenie dawało się pogodzić z zamiarem Pawła, powołania do życia zgromadzenia mającego widoki na rozpowszechnienie po całym okręgu ziemi, kaznodziejskiego zakonu szerzącego nabożeństwo do Męki Pańskiej i ożywionego apostołskim duchem zdolnym zdobywać dusze dla Boga? Zasadnicza rozbieżność założeń i celów była tu aż nadto widoczna. To, że biskup zdawał sobie z niej sprawę, wynika poniekąd z listu, w którym pisze: „Nowe zgromadzenie będzie wyłącznie dziełem Boga, powstanie ono drogą jego ukrytych i cudownych zrządeń”.

Toteż Paweł wołał wobec tego spróbować ponownie szczęścia w Gaeta, gdzie biskup, opierając się na pozwoleniu papieskim, mianował go przełożonym luźnego grona pustelników skupionego wokół eremu Matki Bożej od Wykupu Niewolników. Paweł zaczął od zmienienia nazwy „pustelnia”, zastępując ją określeniem „samotnia”, które jego zdaniem lepiej wyrażało samotność i wycofanie się ze świata, stanowiące nieodzowny składnik jego idei. Przekonał się jednak niebawem, że nie uda mu się w żadnym razie scalić tego zbiorowiska niesfornych indywidualistów w jednolity zespół, a tym mniej w załazek nowego zgromadzenia. Każdy z nich miał bowiem jakieś swoje własne zwyczaje, których nie był skłonny zmieniać. Niepodobna było spodziewać się, że kiedykolwiek uda się przepoić ich innym duchem, zwłaszcza, iż żaden nie okazywał szczególnego zainteresowania dla ideałów Pawła.

Już od samego początku przedsięwzięcie było skazane na niepowodzenie. Rozczarowanie Pawła rosło z dniem każdym, choć z upartą wytrwałością bronił się jeszcze przed nieuniknioną porażką.

Podobno w Itri położonym wśród gór na północ od Gaety znajduje się inne grono pustelników. Może okazać się bardziej podatni? Toteż po Wielkanocy – już 1726 roku – udał się Paweł do Itri, lecz niebawem powrócił przekonawszy się, że nie może tam mieć żadnych widoków powodzenia. Na domiar złego, samotnie poczęli

nawiedzać zaciekawieni goście. Pewnego razu, gdy Paweł ze zwykłą sobie prostotą począł opowiadać im o łaskach, jakich mu Bóg udzielił, Jan przechodząc obok, wtrącił ostrzegawczo: „Pawle, Pawle, znowu zaczynasz?”. A Paweł zawstydzony urwał w połowie zdania i powędrował w stronę kościoła.

W końcu obaj bracia zmuszeni do spojrzenia prawdzie w oczy, postanowili wrócić do Troi, gdzie oczekiwał przynajmniej jeden wypróbowany przyjaciel. Lecz tu także czekał ich niespodziewany cios, który jednym uderzeniem unicestwił wszystkie ich nadzieje. Oto 11 sierpnia zmarł nagle biskup Cavalieri, a wraz z jego śmiercią rozwiały się wszelkie możliwości założenia pierwszej fundacji w diecezji Troja. Z ciężkim sercem zostali więc bracia zmuszeni wybrać jedyną drogę, która jeszcze stała przed nimi otworem; drogę powrotną do Rzymu, do kardynała Corradini i szpitala św. Gallikana. Nie było innego wyjścia. Paweł w pełni zdawał sobie sprawę, że nie jest to jego właściwa droga, ale nie miał wyboru. A jednak właśnie droga do Rzymu miała okazać się wylotem na przyszłość, opatrzniościowym szlakiem, który ich doprowadził do kapłaństwa, do działalności apostolskiej, do powstania zgromadzenia.

Ledwie zaczęli pracować w szpitalu, a mądry kardynał szybko się zorientował, że obaj bracia lepiej nadają się do opieki nad duszami, aniżeli do pielęgnowania dotkniętych chorobą ciał. Chcąc dać im możliwość poświęcenia się trosce o duchowe dobro chorych, zwolniono więc braci z innych pielęgniarskich obowiązków. Jednak przyznać trzeba, że kapelan szpitalny nie będący kapłanem mógł wydawać się nieco dziwnym zjawiskiem. Toteż stawalo się jasne, że należało udzielić braciom święceń choćby dla zapewnienia skuteczności ich działania. Zresztą sami zbyt byli pokorni, aby z własnej inicjatywy dążyć do kapłaństwa, skoro jednak inicjatywa ta wyszła od przełożonych, stawala się sprawą posłuszeństwa. Toteż Paweł rozpoznał w tym nakazie wyraźny znak woli Bożej. Jan początkowo odmówił, lecz niebawem zmienił zdanie i obaj bracia zasiedli na jednej ławie w klasztorze franciszkanów,

by nauczyć się teologii wykładanej tam przez ojca Dominika. Rekolekcje przed święceniami subdiakonatu odprawili w nowicjacie jezuitów w Rzymie, a dnia 7 czerwca 1727 roku papież Benedykt XIII udzielił im święceń kapłańskich⁷.

Nie zdążyli jeszcze ochłonąć z wrażeń tej podniosłej chwili, gdy dotarła do Rzymu wieść o śmierci ich ojca. Tegoż dnia bracia poprosili o pozwolenie wyruszenia do swego dalekiego rodzinnego miasta. Lecz podróż trwająca z górą dwa miesiące okazała się tak uciążliwa, że Paweł po przybyciu do Castellazzo zachorował obłożnie i przez osiemnaście dni nie mógł nawet odprawiać Mszy św. Bracia pozostali w domu do grudnia, kiedy to zakończywszy porządkowanie spraw rodzinnych, pożegnali się z bliskimi, tym razem już na zawsze. Paweł nie miał już nigdy ujrzeć starego domu w Castellazzo.

Podczas ich nieobecności w szpitalu św. Gallikana zaszło wiele zmian. Wprowadzono nowe przepisy, którym mieli podlegać bez wyjątku wszyscy pracownicy. Paweł i jego brat dowiedzieli się po powrocie, że do ich obowiązków należy również branie udziału w zabiegach lekarskich i asystowanie przy operacjach. Przełożony szpitala ojciec Lami żywił wielką cześć dla ich świętobliwości, ale nie okazał szczególnego zrozumienia dla ich powołania. Toteż nie mógł pojąć, że to wcale nie z braku ducha umartwienia Paweł przejawia taką odrazę do tego rodzaju zajęć, lecz dlatego, że jego wrażliwa natura uchyla się przed brutalnymi zabiegami, jakich nie szczędziła ówczesna chirurgia. Po prostu nie mógł się zdobyć na zadawanie bólu cierpiącym. Pod wpływem duchowej rozterki i fizycznego wyczerpania obaj bracia rozchorowali się. Nadzieje powrotu do zdrowia były dość nikłe w tym szpitalu pełnym zakaźnie chorych. Kardynał uznawszy więc, że należy pogodzić się z koniecznością, wielkodusznie przedstawił położenie obu

⁷ Powinni byli na uroczystość święceń być przyodziani w obowiązujące szaty duchowne. Papież jednak pozwolił im zachować swój pokutniczy strój. Stale chodzili boso po ulicach Rzymu, zakładając sandały tylko na odprawianie Mszy św.

braci Ojcu św. i uzyskał dla nich pozwolenie opuszczenia szpitala i powrotu na Monte Argentario.

Po drodze Paweł miał czas przemyśleć wszystkie ostatnie wydarzenia swego życia. Oto już siedem lat z górą upłynęło od chwili, gdy zreagował swą regułę. I tych siedem lat wydawało mu się czymś w rodzaju siedmiu wieków. Pieszko i boso przemierzył w tym czasie setki mil, omawiał swą sprawę z czterema biskupami, jednym kardynałem, a nawet z samym papieżem. A co przez to osiągnął? Niewątpliwie uzyskał przywilej kapłaństwa, bezcenny przywilej składania Najświętszej Ofiary i rozgrzeszania dusz.

Jednak wszystkie poniesione klęski wyrastały przed oczyma pamięci. Pierwsza bezskuteczna podróż do Rzymu, a potem – wyliczał je w myśli – Castellazzo, Gaeta, Troja, znowu Gaeta, Itri, szpital św. Gallikana... Mimo modlitwy i pokuty, mimo olbrzymich wysiłków i nieustrudzonej pracy i całej wytrwałości, na jaką go było stać... Wszystko na próżno. Kroczył przez cały ten czas jałowymi ścieżkami. Każda z nich była faktycznie pustynnym szlakiem. I to w niejednym znaczeniu. Z wyjątkiem kapłaństwa – za które niech będzie Bóg uwielbiony – był dziś, w wieku trzydziestu trzech lat, równie odległy od swego celu, jak kiedy miał ich dwadzieścia sześć. I oto teraz trzeba było wszystko zaczynać na nowo.

III GÓRA BOŻA 1728–1737

Gdy Paweł i Jan pieli się w górę krętą ścieżką wiodącą na szczyt Monte Argentario, zdawało im się, że każdy zapamiętany szczegół krajobrazu wita ich powrót do rodzinnego domu. W oddali ukazała się pustelnia Zwiastowania. Lecz przybliżywszy się stwierdzili nagle ze zdumieniem, że jest już przez kogoś zamieszkała. Czyjaś znajoma, lecz niezbyt przyjazna twarz obrzuciła ich lodowatym spojrzeniem. Nowym mieszkańcem pustelni okazał się Antoni Schiaffino, który pamiętając jak w płomiennych barwach Paweł odmalowywał pustelnikom z Gaety swój pobyt w tym ustroniu, postanowił się w nim osiedlić, korzystając z pobytu obu braci w szpitalu św. Gallikana. Nie pomogły ani błagania, ani namowy. Schiaffino stał nieustępliwie na stanowisku, że skoro objął pustelnię w posiadanie, nie zamierza jej z nikim dzielić, a w razie czego potrafi uniemożliwić braciom osiedlenie się w jakiegokolwiek innej stronie Monte Argentario.

Dla świętego spokoju Paweł wycofał się i po krótkiej naradzie z Janem postanowili obaj wrócić do Castellazzo. Lecz okręt, który miał ich zawieźć, nie mógł w żaden sposób ruszyć z miejsca, jakkolwiek w tym samym czasie dwa inne statki bez trudu odbiły od brzegu. Dopiero gdy Paweł opuścił pokład, okręt odzyskał swobodę ruchu. Ten jawny znak z nieba ponownie rozświetlił im właściwą drogę. Powinni pozostać na Monte Argentario.

Bracia znów wkroczyli na krętą ścieżkę, a podczas wspinaczki Paweł przypominał sobie istnienie na górze innej jeszcze małej pustelni pod wezwaniem św. Antoniego. Okazało się jednak, że jest tak zaniedbana i zniszczona, że doprowadzenie jej do stanu użytkowania wydawało się na pierwszy rzut oka sprawą zgoła beznadziejną. Dach świecił dziurami, ściany były niepokojąco spękane, a kaplica tak zaśmiecona i brudna, że myśl o odprawianiu w niej Mszy św. wydała się wręcz nieprzyzwoita. Mimo to, po dokładnym obejrzeniu budynku, Paweł powziął nagle decyzję. Pozostaną. Zakasawszy rękawy niezwłocznie przystąpili do usuwania gruzu. Choć kaplica jest uboga, będzie przynajmniej czysta. Antoni Schiaffino przyglądał się ich pracy nieżyczliwym okiem. Żadne perswazje Pawła nie potrafiły go przejednać. Ta jego postawa stanowiła na razie jedyną chmurę zaciemniającą widnokrąg. Bracia jednak nie bacząc na nią, postarali się znów wskresić tę atmosferę duchowej radości, w jakiej żyli tu przed sześciu laty. Kojący rytm modlitwy i pokuty przywrócił im niebawem nadwątłone siły ciała, a Boży pokój zagościł w ich duszach.

Dawny biskup Salvi już nie żył. Rządy nad diecezją objął po nim biskup Krzysztof Palmieri odznaczający się usposobieniem bardziej przedsiębiorczym. W czasie wielkiego postu 1729 r., podczas pasterskiej wizytacji w Port'Ercole, zetknął się po raz pierwszy z pustelnikami z Monte Argentario, których sława świętości rozchodziła się już daleko poza granice diecezji. Poddawszy ich czemuś w rodzaju krótkiego egzaminu, biskup udzielił im pozwolenia na słuchanie spowiedzi i głoszenie kazań.

Na początek polecił Pawłowi głoszenie rekolekcji wielkopostnych w Port'Ercole. Paweł jeszcze jako człowiek świecki zapoznał się z działalnością kaznodziejską w postaci, którą można by określić jako „głoszenie misji”. Właściwy jednak początek jego misjonarskiej pracy miał miejsce tu, u stóp Monte Argentario. Tu rozpoczęło się niepozorne kiełkowanie tych nieprzebranych plonów duchowych, których żniwo będzie się ciągnęło przez całe trzydzieści lat.

Z nielicznymi tylko wyjątkami wszystkie misje prowadzone przez św. Pawła od Krzyża nie wykroczyły poza stosunkowo wąski pas Italii. A była to okolica wyjątkowo uboga i niewdzięczna. Pod względem politycznym była podzielona na trzy odrębne części. Miasto Orbetello z przyległym obszarem nadbrzeżnym i wyspą Elbą tworzyło małe „państwo garnizonowe” znajdujące się wówczas pod austriacką, a następnie pod hiszpańską okupacją; księstwo Toskanii podlegało cesarzowi austriackiemu; na południu zaś ciągnęło się państwo papieskie. Poza misjami w większych miastach cała apostolska działalność św. Pawła od Krzyża skierowana była głównie ku ludziom zamieszkującym Maremmę, niezdrową i bagnistą strefę ciągnącą się od Livorno po Terracinę koło Gaety. Nieliczne tylko gościńce przecinały te grzęzawiska, pozbawione drogowskazów. Było więc nietrudno zabłądzić wśród bezdroży tych malarycznych moczarów. Ale Paweł niewiele sobie robił z takich niebezpieczeństw. I nieraz, gdy podczas wędrówki zaskoczyła go noc, kładł się do snu na wiązce chrustu pod wygwieżdżonym niebem.

Wskutek bliskości granic aż trzech odrębnych państw okolica ta stała się ulubionym miejscem schronienia, czymś w rodzaju meliny przeróżnych przemytników, bandytów, zbrodniarzy i całej zgrai pomniejszych rzezimieszków, zbieraniny ludzi o ponurych, zaciętych twarzach, często odzianych w łachmany, ale uzbrojonych po zęby. Żyjąc w stanie ciągłego zagrożenia i podejrzliwości niełatwo darzyli kogoś, zwłaszcza obcego, zaufaniem. Pozostała ludność żyjąca w ciemnocie i na straszliwie prymitywnym poziomie, składała się z nieokrzesanych rybaków, roslących, ogorzałych drwali, ciemnoskórych smolarzy i tępych wieśniaków. Pędzili nędzny żywot w biedzie i potwornych nieraz warunkach, przeważnie zupełnie nieświadomi elementarnych nawet prawd wiary. Jeśliby komuś ten obraz miał wydać się przerysowany, wystarczy przeczytać list św. Pawła do kardynała Altieri, ordynariusza z Orbetello, aby się przekonać o jego trafności:

„Przed naszym przybyciem, ludzie w San Stefano nie mieli prawie żadnego pojęcia o głównych tajemnicach naszej wiary świętej... Gdyby Jego Eminencja wiedział naprawdę, w jakiej duchowej potrzebie znajdują się te okolice, to by niechybnie ronił nad nimi krwawe łzy”¹.

Miasteczko Orbetello u stóp Monte Argentario zasłużyło sobie na uszczypliwy przydomek „małej Genewy”. A w katolickich Włoszech smutna sława stolicy kalwinizmu uczyniła z nazwy „Genewa” coś w rodzaju wyzwiska, a co najmniej ujemnego określenia. Mimo to w samym tylko Orbetello wygłosił św. Paweł od Krzyża aż siedem misji. Skoszarowany tam silny garnizon wojskowy składał się między innymi także z protestanckich żołnierzy z pułków zaalpejskich. W każdym razie w 1741 roku znajdował się tam na pewno oddział Szwajcarów, tak zwany „pułk Beslera”, który być może stał się uboczną przyczyną powstania przezwiska „mała Genewa”. Jednak nawet tak mało obiecujący element zareagował na działalność Świętego w sposób wręcz zaskakujący. Później jeden z oficerów zeznał, że „rzadko dzień mijał bez tego, aby co najmniej czterech lub pięciu protestantów – czy to luteranów, czy kalwinów, nie przyszło do ojca Pawła, nawet wtedy, gdy stał jeszcze na platformie, skąd wygłaszał swe misyjne kazania. Sługa Boży witał ich serdecznie, następnie pouczał, a w końcu, gdy publicznie wyrzekali się herezji, naprowadzał ich na drogę zbawienia”².

Nikt nie znał tak dobrze położenia, w jakim znajdowała się diecezja Sovana, jak biskup Palmieri, który bacznie śledził rozwój działalności Pawła w Port’Ercole. Toteż następnego 1730 roku biskup zlecił Świętemu głoszenie prawdziwej misji w Talamone, ludnym porcie na tokańskim wybrzeżu. Paweł jednak wciąż nie tracił z oczu swego głównego celu. Zwrócił się był tymczasem do

¹ *Listy*, t. I, s. 366. San Stefano była to mała wioska rybacka u stóp Monte Argentario.

² *Proc. w Gaeta*, s. 379–386.

dawnego przyjaciela, monsiniora Crescenzi, w nadziei uzyskania zatwierdzenia swej reguły przez następnego papieża Klemensa XII, obranego przed kilkoma tygodniami, dnia 12 lipca. I tym razem krok okazał się przedwczesny, jakkolwiek Ojciec św. nadesłał reskrypt z apostolskim błogosławieństwem dla obu braci, udzielając odpustu zupełnego wszystkim słuchaczom ich misji. Dalszym i w swych następstwach donioślejszym krokiem posuwającym sprawę naprzód, było otrzymanie uprawnień od kardynała Altieri, sprawującego jurysdykcję kościelną nad miastem Orbetello. Uprawnienia te pozwalały na znaczne rozszerzenie zasięgu działalności apostolskiej obu braci. Niebawem Paweł i Jan stali się więc postaciami znanymi szeroko i daleko. Ich kaznodziejska żarliwość i ofiarna praca wzniewały taki podziw, że ludzie zapragnęli okazać im jakoś swoje uznanie. Ale właśnie: jak i czym? Toteż w odpowiedzi na podanie Świętego władze miejskie podjęły pierwszą próbę i wystosowały pismo do kardynała Altieri z prośbą o pozwolenie przepisania na Pawła tytułu własności pewnego placu utrzymanego w rezerwie na ewentualne cele kościelne. Paweł powitał ten wniosek uniesieniem radości, gdyż w jego samotni na Monte Argentario Matka Boża wskazała mu to właśnie miejsce jako przyszłą siedzibę mającego powstać klasztoru.

Ale od samego początku trudności poczęły się piętrzyć. Po pierwsze, ledwo wiadomość ta się rozeszła, mieszkańcy Port'Ercole poczuli się urażeni, że Paweł wybrał Orbetello z pominięciem ich miasta. Postanowili tedy zbudować własny klasztor i osadzić w nim nieprzejechanego Schiaffino. Zważywszy, iż ten nadal trwał w swej pierwotnej postawie, nietrudno zgadnąć, kto był twórcą tego pomysłu. Ledwo jednak podwaliny zamierzonego klasztoru zostały założone i minęła pierwsza fala entuzjazmu, ludzie z Port'Ercole poniechali dalszej budowy. Tymczasem w Rzymie powstały nowe powikłania. Wikariusz generalny z Orbetello rozporządzał tylko ograniczoną władzą. Ostateczna decyzja zależała od kardynała Altieri. A ten był już bardzo podeszły w latach i jak to bywa w starym wieku, niechętny nowym przedsięwzięciom.

Ponadto obawiał się, aby nie popełniono w Orbetello jakichś błędów formalnych, za które będzie później musiał odpowiadać w Rzymie. Choć nie przeciwstawił się otwarcie przedłożonej propozycji, obwarował swą odpowiedź takim mnóstwem przeróżnych zastrzeżeń, że znalezienie jakiegoś wyjścia z tego gąszczu wydało się Pawłowi sprawą zgoła beznadziejną. Wyciągnięto na nowo mapy i plany, a po dokładnym ich przestudiowaniu wykryto nagle, że plac przeznaczony na budowę leży poza granicami miasta Orbetello i stanowi część osobistego majątku króla Neapolu. Postarano się tedy czym prędzej o jego pozwolenie. Jednak mieszkańcy Orbetello zniecierpliwieni tą zwłoką ciągnącą się w nieskończoność, już przedtem na własną rękę zabrali się do dzieła. Poczeli wciągać na szczyt materiały budowlane, aż wkrótce całe zbocze zjeżyło się stertami kamieni i piasku, stosami listew i dachówek, belkowaniem rusztowań, linami i narzędziami. Pierwsze wielkopostne misje Pawła w Orbetello wzmogły jeszcze powszechny zapal do pracy i czwartego marca 1733 r. położono kamień węgielny.

Poleciwszy Janowi pilnowanie budowy, Paweł wyruszył na misje do Piombino i Manciano. Spodziewał się, że po powrocie zastanie robotę już na ukończeniu. Tymczasem, gdy zjawił się ponownie w Orbetello, nie ujrzał na placu ani jednego człowieka, a budowa ani na cal nie posunęła się naprzód. Jedyna odpowiedź, jaką zdołał uzyskać w Orbetello, brzmiała: rozkaz z Neapolu. Paweł uznał, że jedynym sposobem przełamania tej nowej zapory będzie udać się do Neapolu. Była to pora największego nasilenia letnich upałów, a Paweł szedł piechotą i boso po twardych, kamienistych drogach, aby u celu doczekać się tylko odrzucenia swego podania bez żadnych wyjaśnień. Wszystkie jego wysiłki okazywały się daremne. Czyżby i ta klęska miała być nieodwracalna? Jak już tyle razy w podobnych okolicznościach, tak i tym razem, zwrócił się o pomoc do Maryi. Odbił pielgrzymkę do Loreto. Jak sam określił, „poczołgał się tam na kolanach”. Uczyniwszy wszystko, co było po ludzku

możliwe, powrócił na Monte Argentario, by tam spokojnie oczekiwać dalszego biegu wypadków.

Sytuacja niespodziewanie zmieniała się z dnia na dzień na skutek wybuchu wojny. Była to jedna z tych wielu wojen, o których wspominają tylko źródłowe podręczniki historii. Ta, o której tu mowa, bywa w nich określana jako „wojna o polską sukcesję”³. Sojusznikami były Francja, Hiszpania i Sardynia, wrogiem ich – Austria. Do dziś jednak nie bardzo wiadomo czemu właściwie Francuzi i Hiszpanie chcą bić się z Austriakami o elekcję w Polsce, akurat obrali sobie Włochy za teren walki. Plan kampanii był niezmiernie prosty. Podczas gdy Francuzi zagarniali Lombardię, Hiszpanie wylądowali w La Spezia, by uderzyć na Toskanie. W ramach następnych zarządzeń obronnych, Austria wydała nakaz wysiedlenia z Toskanii wszystkich poddanych wrogich mocarstw. Toteż Paweł i Jan o mało nie zostali zmuszeni do opuszczenia Monte Argentario. Austriacki komendant wojskowy⁴ był jednak na tyle wielkoduszny, by udzielić im zaświadczenia stwierdzającego, iż nie podlegają wydanym zarządzeniom, oraz przepustek zezwalających na poruszanie się po terytorium austriackim. Było to wszystko, co mógł dla nich uczynić. Natomiast marzenia o podjęciu zaniechanej budowy trzeba było, rzecz jasna, odłożyć do czasów powojennych.

Po kilku latach Hiszpanie zagarnawszy Neapol i Sycylię mogli swobodnie okrążyć Orbetello i Port’Ercole – ostatnie jeszcze nie zdobyte dotąd austriackie twierdze w Toskanii. Samotnia Pawła

³ Wojna o elekcję w Polsce została wywołana przez roszczenia dwóch kandydatów do tronu polskiego. Większość szlachty opowiadała się za Stanisławem Leszczyńskim, teściem Ludwika XV, króla Francji, a elektem przeciwnego obozu był August III Sas, popierany przez Rosję i Austrię. Cesarz Karol VI austriacki zbrojnie poparł ten ostatni wybór przeciw Francji, Hiszpanii i Sardynii. W wyniku tej wojny Austria straciła większość swych posiadłości we Włoszech.

⁴ Dla dopełnienia zawiłości obrazu dowódca ten nosił hiszpańskie nazwisko: markiz Bartłomiej Espeço y Vera.

stała się raptem terenem gorączkowych przygotowań do bitwy. Z sąsiedniego fortu na Monte Filippo dolatywał do jego uszu skrzekliwy odgłos trąb i głuche warczenie bębnow. Z wyżyn swego górskiego urwiska mógł ujrzyć w dole warowne mury Orbetello, dostrzec połyskujące w słońcu szable i muszkiety. Osobiście zetknął się po raz pierwszy z walczącymi, gdy pewnego razu hiszpański patrol, któremu jego pustelniczy strój wydał się podejrzany, aresztował go pod zarzutem szpiegostwa. Zaciągnięto go na przesłuchanie, a następnie odesłano do hiszpańskiego komendanta, generała de las Minas. Ten jednak zrozumiał, że Paweł nie żywi podstępnych zamiarów ani nie knuje żadnej zdrady, szybko zakończył sprawę uprzejmym zaproszeniem na obiad. Święty uzyskał od niego pozwolenie roztaczania swobodnie duchowej opieki nad żołnierzami jego własnych oddziałów oraz, przez wzgląd na swą zażyłą przyjaźń z Austriakami z Orbetello, również pozwolenie przechodzenia bez przeszkód przez linię frontu, ilekroć tylko zapragnie udać się na stronę nieprzyjacielską. Był to z pewnością wypadek w swoim rodzaju jedyny, aby kapelanowi wojskowemu – bo przecież taką właśnie funkcję Paweł obecnie pełnił – wolno było mieć dostęp do obu walczących ze sobą armii.

Sytuacja ta nie była pozbawiona momentów nieraz humorystycznych. Tak na przykład, gdy pewnego razu załoga oblężonego Orbetello spostrzegłszy za wałami twierdzy swojską, czarno odzianą postać, czekającą cierpliwie na chwilę swobodną, by dostać się do miasta, czym prędzej opuściła most zwodzony, a oba walczące wojska, jak na komendę, jednomyślnie wstrzymały ogień.

Hiszpanie byli co prawda dobrymi katolikami, ale byli też i dobrymi żołnierzami, traktującymi rzemiosło wojenne poważnie i rzeczowo. Toteż któregoś dnia urządzili na szczycie Monte Argentario gniazdo artylerii i skierowawszy paszczę armatnie na Port'Ercole, poczęli zasypywać je gradem pocisków⁵. Na zielo-

⁵ Miejsce to zwie się dotąd Piazza di Spagna, przez humorystyczne porównanie ze słynnym rzymskim placem tejże nazwy.

nym, zalesionym zboczu wyrastały pióropusze dymu, huraganowy ogień wstrząsał powietrzem. Po miesiącu tej kanonady, jakiś celniej wymierzany pocisk wysadził magazyny prochu w forcie Monte Filippo i 13 maja Port'Ercole poddało się. Orbetello otoczone niemal zewsząd jeziorem broniło się jednak uparcie. Toteż Hiszpanie, odwróciwszy swe baterie w przeciwnym kierunku, jęli czynić przygotowania do szturm. Paweł przerażony na widok tej groźby wiszącej nad bezbronną ludnością, udał się natychmiast do hiszpańskiego generała i począł go błagać o cofnięcie rozkazu. Las Minas zasłaniał się starą żołnierską wymówką: „Smutna wojenna konieczność”. Ale Paweł nie dając za wygraną, prosił go nadal, podkreślając, że zna dobrze mieszkańców Orbetello i wie, że miasto z całą pewnością niezadługo się podda. W końcu generał ustąpił: „Zgoda – rzekł krótko – niech już tak będzie. Ale proszę pamiętać, że robię to tylko dla ojca”. Rozkaz ostrzeliwania został zastąpiony zarządzeniem blokady twierdzy i rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami Pawła, Orbetello poddało się 28 czerwca. Gdy w niespełna miesiąc później hiszpański generał wkroczył na czele wojsk do miasta, był tak mile zdumiony serdecznym przyjęciem, jakie mu zgotowała ludność, że posłał po świętego, aby mu wyrazić swe uznanie. „Miałeś słuszość ojczyzno Pawle – rzekł wylewnie – ci ludzie są bardzo poczcwi i jestem ci niezmiernie wdzięczny za to, żeś mnie wtedy powstrzymał”.

Mimo względów jakimi Paweł cieszył się u obu walczących stron, znalazł się on nieraz pod ostrzałem. Podczas gdy krążył wśród hiszpańskich okopów na Monte Argentario, pociski armatnie ryły ziemię wokół i niejednego żołnierza padał u jego boku. Nie brakowało też i innych niebezpieczeństw. W przeludnionych obozach srożyła się febra i choroby zakaźne. Paweł pełniąc swe dzieło miłosierdzia spędzał większość czasu wśród dotkniętych zarazą. Najboleśniejszym jednak zadaniem było przygotowywanie na śmierć ofiar plutonów egzekucyjnych. Dwunastu żołnierzy, którzy odmówili zastosowania się do rozkazu kapitulacji Port'Ercole, zostało skazanych na śmierć. Paweł towa-

rzyszył im do końca, pokrzepiając ich na drogę wieczności i ukazując im krucyfiks w chwili, gdy padł rozkaz.

Wraz z upadkiem Orbetello wojna dobiegła końca. „Państwo garnizonowe” pozostało pod panowaniem hiszpańskim, a zbędne teraz oddziały odpłynęły z powrotem do swej ojczyzny. Pozostały jednak następstwa wojny, wyczuwalne w napiętej atmosferze miasta i utajonej wrogości jego mieszkańców, która ni stąd, ni zowąd skupiała się na pustelniku z Monte Argentario. Niektórzy, pamiętając tylko, że piętnował nadużycia i krzywdy wyrządzone, pragnęli przede wszystkim uciszyć ten karcący głos. Drudzy uważali, iż żył na zbyt przyjaznej stopie z hiszpańskimi żołnierzami, lub też odwrotnie – z poprzednią, austriacką załogą. Wszyscy już zdążyli puścić w niepamięć jego interwencję, która uratowała miasto od zagłady. Ilekroć Paweł pojawił się w Orbetello, ciągnął za nim ulicami wzburzony tłum obrzucający go stekiem wyzwisk.

Mężczyźni pogwizdywali szyderczo, gdy mijali ich ze spuszczonymi oczami. Ciskano weń kamieniami. Ogólne wrzenie wzmoгло się do tego stopnia, iż pokazywanie się w mieście za dnia stało się wręcz niebezpieczne. Dopiero pod osłoną nocy mógł Paweł niekiedy odważyć się na krótkie odwiedziny u wypróbowanych przyjaciół. Podejrzliwość zatoczyła widać niebawem szerokie kręgi, skoro ludność Pitigliano też oświadczyła, że nie chce słuchać jego kazań ani uczęszczać na jego misje. Oszczerstwo szeroko rozdziawiło swą ohydą paszczę. Wkrótce dołączyła się złośliwa plotka. Opowiadano sobie, że eremici z Monte Argentario ściągnęli na siebie niełaskę kardynała Altieri, a dalsze pogłoski twierdziły, że ta niełaska spadnie również na każdego, kto wspiera ich jałmużną. Wskutek tego wyszło niebawem jedyne źródło skromnych dochodów Pawła. Podjętą na nowo budowę trzeba było przerwać z braku funduszy. Wkrótce małe zgromadzenie – gdyż kilka odważnych dusz przyłączyło się w tym czasie do obu braci – nie miało już po prostu co jeść. Doszło do tego, że pewnej nocy ludzie wylegli tłumnie z miasta w stronę budowy z zamiarem zburzenia jej doszczętnie. Tym razem jednak sama Opatrzność sta-

nęła w obronie Pawła. Złoczyńcy bowiem rozpierzchli się w popłochu na widok św. Michała Archanioła, dzierżącego ognisty miecz, z którym stał na straży niewykończonego klasztoru.

Paweł, chcąc odeprzeć falę oszczerstw, odbył znów bosą dwie wędrowniki do Rzymu, od którego dzieliło go przecież aż siedemdziesiąt mil uciążliwej drogi. Odebrał wrażenie, że jego wyjaśnienia trafiły do przekonania kardynałowi Altieri.

Niemniej w umyśle kardynała pozostały jeszcze pewne wątpliwości, a może po prostu nie mógł się pozbyć swej przesadnej ostrożności. W każdym razie zezwolił na zajęcie klasztoru, zabraniając jednocześnie użytkowania kościoła. Łatwo sobie wyobrazić jaki to był dla Pawła cios. Piękny, nowiutki kościół przyklasztorny, owoc tylu starań, zabiegów, trosk, wzniesiony kosztem tylu niepokojów i tylu łez. I ten kościół ma pozostać pusty, podczas gdy on sam będzie zmuszony codziennie wędrować półtorej mili po kamienistej, zarośniętej cierniem górskiej drodze, by odprawić Mszę św. w zmurszałej kapliczce pustelni. Ale jeszcze dotkliwiej bolała myśl o krzywdzie biednych okolicznych dusz, skoro nie wolno mu będzie nawet słuchać spowiedzi w tym kościele. Słowa kardynała wyrażały bowiem stanowczy zakaz sprawowania w kościele jakichkolwiek czynności liturgicznych. Nie miały to być jednak ostatnie jego słowa.

Paweł, zdruzgotany tym obrotem sprawy, postanowił zaapelować po raz ostatni do monsiniora Crescenzi. Napisał więc do niego, przedstawiając mu całą sytuację. Był zrezygnowany i gotów zastosować się do życzeń kardynała, ale – Bóg świadkiem – nie przychodziło mu to łatwo. Monsinior Crescenzi okazał się, jak zawsze, niezawodnym przyjacielem. Wsunąwszy list Pawła do kieszeni, sięgnął po swój szeroki kapelusz i poszedł prosto do kardynała Corradini. A kardynał z kolei postarał się o audiencję u papieża. Nie minęły dwa tygodnie, a papież Klemens XII, jakkolwiek niewidomy i przykuty do łoża, był wciąż jeszcze pełen energii i skłonny do szybkiego działania. Wystosował brewe do kardynała Altieri z poleceniem wydelegowania przedstawiciela,

który by poświęcił kościół na Monte Argentario jako publiczną świątynię, w której wolno będzie udzielać sakramentów świętych i odprawiać wszelkie nabożeństwa.

Kardynał Altieri z chwilą gdy poczuł się zwolniony od kłopotliwego obowiązku powzięcia samodzielnej decyzji, okazał się samą dobrocią. Natychmiast powiadomił wikariusza generalnego w Orbetello o poleceniu papieskim, prosząc go o poświęcenie kościoła w sposób możliwie najuroczystszy. Chcąc zaś do końca oddać sprawiedliwość Jego Eminencji, trzeba dodać, że później wyraził Pawłowi swe ubolewanie z powodu przykrości, jaką mu niebacznie wyrządził. Z głębi swego biurka wygrzebał podanie wniesione przed sześciu laty, otrzepał je z kurzu i przepisał na Pawła tytuł własności gruntów okalających klasztor.

Również i w Orbetello ogólny nastrój uległ znacznej poprawie. Z początkiem 1737 r. przybył nowy gubernator wojskowy, generał Karol Blom⁶. Ten prostoduszny, prawy żołnierz nie lubił podstępnych matactw. Wziął Pawła pod swą opiekę i szybko rozprawił się z obmową i podejrzeniami. Co innego zaś było obrzucać kamieniami biednego, bezbronnego księdza, a co innego znieważać przyjaciela gubernatora. Zresztą generał Blom złożył niejednen konkretny dowód swej przyjaźni. Poprzednie pozwolenie budowania klasztoru wymagało potwierdzenia ze strony nowego hiszpańskiego władcy Neapolu, Karola III. Tym razem jednak nie potrzebował już Paweł wybierać się w daleką drogę, gdyż generał Blom otrzymał królewskie zezwolenie odwrotną pocztą⁷.

Następnego dnia generał miał już w zanadrzu nową niespo-

⁶ Generał Karol Blom, rodem z Brukseli, wzorowy katolik, przybył do Orbetello w pierwszych miesiącach 1737 r. i pozostał na tym posterunku aż do swej śmierci w wieku lat 65, w dniu 19 listopada 1742 r. Łaciński napis na jego grobie głosi, że „posiadał wszelkie cnoty znamionujące chrześcijanina i żołnierza”.

⁷ Jest to tym godniejsze uwagi, iż tenże Karol III stanowczo odmawiał św. Alfonsowi Liguori udzielenia jakichkolwiek zezwoleń królewskich dla jego zgromadzenia redemptorystów.

dziankę dla przyjaciela. Uzyskał dalsze nadanie – królewskich gruntów położonych na południe od klasztoru, które przeznaczono na ogród. A gdy wyszła na jaw bezpodstawność dawnych podejrzeń, większość ludności Orbetello wstydziła się swego postępowania i żałowała za nie serdecznie. Toteż dzień wyznaczony na uroczystość poświęcenia nowego kościoła stał się czymś w rodzaju publicznego święta. Był to 14 września, święto Podwyższenia Krzyża. Stawiło się całe Orbetello. Przybył wikariusz generalny w asyście duchowieństwa, władze miejskie i przedstawiciele sądownictwa w uroczystych strojach, przybył generał Blom ze swym sztabem w całym przepychu galowych mundurów, poprzedzani gwardią honorową i orkiestrą wojskową, Wśród tych odświętnie nastrojonych tłumów, na czele ośmiu towarzyszy św. Paweł od Krzyża promiennie radosny wkraczał boso w podwoje nowego domu: samotni pod wezwaniem Ofiarowania Najświętszej Panny.

Mijało siedemnaście lat od czasu, gdy napisał swą regułę, a dziesięć od dnia, gdy został wyświęcony na kapłana. Ale też i miał już czterdzieści trzy lata, miał za sobą więcej niż połowę życia.

IV

GŁOSICIEL EWANGELII

1737-1747

Po kilku miesiącach spędzonych spokojnie wśród zgromadzenia w nowym klasztorze, św. Paweł od Krzyża uznał, że nadszedł czas podjąć nową próbą uzyskania zatwierdzenia swej reguły, za którą przemawiał już teraz dodatkowy, a podstawowy argument jej praktycznej przydatności. W styczniu 1738 r. wybrał się do Rzymu na konferencję z nieodmiennie wiernym Crescenzim. Monsinior, swym zwyczajem, z miejsca przystąpił do roboty i na jego prośbę Klemens XII wyznaczył kardynałów, którzy mieli, nie zwlekając, przestudiować i rozpatrzyć regułę.

Pomysłowy Crescenzi skorzystał ponadto ze sposobności, by uzyskać dla Pawła oficjalny tytuł „misjonarza apostolskiego” wraz z przywilejem udzielania papieskiego błogosławieństwa. Paweł widząc, że sprawa spoczywa w dobrych rękach, postanowił wrócić na Monte Argentario, aby tam modlić się o pomyślny wynik. Ale ledwo zdążył wrócić do domu, gdy nagłące wezwanie od monsiniora Crescenzi zmusiło go do nowej wędrówki. Ach, jak dobrze znał każdy kamień tej niekończącej się drogi. Zima była wyjątkowo ostra i musiała mu przypomnieć tamtą, sprzed sześciu laty, kiedy to wędrował do Genui. Jego bose stopy, pokaleczone i krwawiące, pozostawiały, tak samo jak wówczas, czerwone ślady na śniegu. W Rzymie, ilekroć na białych marmurowych schodach

widniały krwawe odciski stóp, ludzie już wiedzieli, że przechodził wtedy Paweł od Krzyża.

Monsinior Crescenzi był jak zawsze gotów podzielić się nowymi wiadomościami. Tym razem były to złe wiadomości. Oto kardynałowie orzekli, że reguła jest zbyt surowa i jednomyślnie odmówili jej zatwierdzenia. Na Monte Argentario wiadomość ta wywołała takie przygnębienie, że dwaj księża natychmiast spakowali manatki i opuścili zgromadzenie. Ludzie zatroskani kiwali głowami. Jak tak dalej pójdzie, to nowy klasztor będzie wkrótce pusty. Rzym ma zupełną rację, że nie chce zezwalać na takie nie-ludzkie umartwienie.

A Paweł milczał. Cierpiał ponad ludzką miarę, gdyż w tym właśnie czasie ogarnęły jego duszę zupełne ciemności wewnętrzne. Niebawem jednak wyruszył na misje do Umbrii podzielonej na dwie diecezje: Citta del Pieve i Todi. W Piagaro, gdzie niektórzy poczęli uskarżać się na długość kazań, a wielu w ogóle nie chciało ich słuchać, misje zakończyły się niecodziennym wydarzeniem. Na ostatnim kazaniu Paweł wspominał z pewną goryczą o tych, którzy odetchną z ulgą, gdy pozbędą się już jego widoku. „Ale – dorzucił na koniec – pozostawię za sobą Kogoś, kto przemówi do was lepiej niż ja”. Dramatycznym gestem wskazał na wizerunek Ukrzyżowanego: „Kiedy odejdę, ten krucyfiks będzie zamiast mnie głosił misje”. Ledwo zdążył opuścić kościół, gdy z dłoni, stóp i boku drewnianej figury począł, na oczach wszystkich, sączyć się kroplisty pot. Ludzie wypadli z kościoła, by zawiadomić świętego o przedziwnym zjawisku. Lecz on odpowiedział tylko: „Wiedziałem, że tak będzie. Jakie to ma zabarwienie?”. – „Błękitne”. – „To dobry znak” – zauważył krótko. Po czym ruszył w dalszą drogę. Ale ludzie, którzy nie chcieli go słuchać podczas misji, nawrócili się pod wpływem tego zdarzenia¹.

¹ Ten cudowny krucyfiks znajduje się obecnie w relikwiarzu jednej z kaplic. Łaciński napis na marmurowej tablicy pamiątkowej uwiecznia to wydarzenie, które zaszło 11 maja 1738 r. (O. Louis CP, *Histoire de Saint Paul de la Croix*, s. 241-243).

Mimo nawału pracy w gorączkowym okresie misyjnym, Paweł wciąż nie przestawał przemyślać nad nowymi sposobami podejścia do sprawy tak, aby móc uzyskać nareszcie zatwierdzenie swej reguły przez Stolicę Apostolską. Toteż zaniepokoiła go ogromnie wiadomość, że monsinior Crescenzi opuszcza Rzym, by objąć nuncjaturę apostolską w Paryżu. Bo czegoż zdoła dokonać w Rzymie sam, bez pomocy tak zaufanego doradcy. A jednak Crescenzi zatroszczył się przed wyjazdem o zapewnienie Pawłowi przyjaciela mogącego go zastąpić, człowieka, który mimo swej wysokiej godności odznaczał się gorącym, ludzkim sercem, mianowicie kardynała Rezzonico. Obawiając się, że rezydencja kardynała może wydać się Pawłowi przybytkiem zbyt luksusowym, aby chciał się w nim zatrzymać, Jego Eminencja pospieszył go uspokoić, wyjaśniając mu z ujmującą prostotą:

„Kiedy Ojciec przybędzie do Rzymu, proszę zamieszkać w moim domu, gdzie znajdzie się ubogie, liche pomieszczenie, takie samo jak klasztor, w którym Ojciec przebywa. Może tam Ojciec zamieszkać zupełnie swobodnie, oddawać się swym ćwiczeniom duchownym i stąd załatwiać swoje interesy, nie sprawiając nikomu najmniejszego kłopotu”².

Klemens XII zmarł w lutym 1740 r., a sześć miesięcy później, 17 sierpnia, został obrany papieżem kardynał Prospero Lambertini, Benedykt XIV. Nowy Ojciec św. cieszył się powszechnie sławą niezwykle wybitnej i wszechstronnej osobistości. Popierał rozwój nauk, był znakomitym znawcą historii i uznanym autorytetem w zakresie prawa kanonicznego. Jego rozprawa dotycząca procedury kanonizacji jest po dziś dzień uważana za najwyższe osiągnięcie w tej dziedzinie. Toteż na wiadomość o jego wyborze nadzieja wezbrała ponownie w skołatanym sercu Pawła. Czyżby ten papież miał być właśnie tym, który nareszcie zatwierdzi jego regułę?

² O. Luca, *Un Grande Apostolo del Crocifisso*, s. 229,

Obaj przyjaciele Pawła, kardynałowie Corradini i Rezzonico, nie tracili czasu. Postarali się jak najrychlej przedłożyć Ojcu św. cenny rękopis. Benedykt XIV odniósł się do sprawy życzliwie, lecz postanowił przed powzięciem dalszych kroków zapoznać się osobiście z tą sławetną regułą stanowiącą przedmiot tylu sporów. Po przeczytaniu jej jednak nie wyraził swego zdania, lecz wyznaczył ponownie do jej rozpatrzenia komisję złożoną z trzech członków: dwu kardynałów, o których wiedział, że są jej przychylni oraz księdza Garagni, mądrego a biegłego teologa, który – jak przypuszczał – zajmie wręcz przeciwne stanowisko. I trzeba przyznać, że przewidywania papieża okazały się trafne. Już po pierwszym odczytaniu Garagni przerażony wznosił ręce ku niebu i zawołał: „Przecież nie ma człowieka, który by mógł wytrzymać tak surową regułę!” Wezwał do siebie autora i już sam widok Pawła, gdy stanął przed nim blady, wychudzony, zmarznięty, potwierdził mu słuszność jego poglądów. Taka reguła jest zupełnie utopijna, sprzeczna z ludzką naturą. Nie tracąc czasu na przekonywanie Pawła, ksiądz Garagni zbył go krótko. Ale tej nocy ksiądz długo dręczyła bezsenność. Sumienie jakoś dziwnie nie dawało mu spokoju. Czy nie postąpił zbyt pochopnie? W końcu czując, że go sen odszedł na dobre, wstał, zapalił świecę na nocnym stoliku i ukląkł do modlitwy. I oto nagle doznał jakby olśnienia. Przecież ten człowiek – to po prostu święty. Odtąd Paweł pozyskał sobie nowego niezawodnego przyjaciela.

Tymczasem papież, przemyślawszy spokojnie całą sprawę, wezwał do siebie Pawła i Jana Chrzyciela. Oświadczył im, że muszą – po prostu muszą – wprowadzić pewne złagodzenia do swej reguły, jeśli można nazwać złagodzeniem noszenie sandałów, zamiast chodzenia boso, bez względu na pogodę, noszenia zimą płaszcza, nakrycia głowy oraz używania mniej szorstkich tkanin na habity. Paweł odpowiedział pokornie, że w słowach papieża dostrzega wyraz woli Bożej.

Długie, nieskończenie długie oczekiwanie zbliżało się ku końcowi. 30 kwietnia 1741 roku komisja orzekła, że złagodzona re-

guła Bosych Księży Najświętszego Krzyża i Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa może uzyskać aprobatę reskryptem – z jednym wszakże, dość osobliwym zastrzeżeniem, mianowicie: „pod warunkiem, iż rzeczeni księża będą liczniejsi”. Widać ksiądz Garragni nie pozbył się jeszcze wszystkich wątpliwości. Reskrypt zresztą stanowił najmniej formalny, najprostszy rodzaj aprobaty, nie dający się porównać z ważnością brewe, a tym bardziej bulli. Nie oznaczał on bynajmniej zatwierdzenia instytutu Pawła od Krzyża, lecz zwykłe stwierdzenie, że jego reguła nie zawiera błędów. Mimo to papież długo jeszcze modlił się o światło, zanim nareszcie 15 maja reskrypt został wydany i pierwsi pasjoniści mogli zacząć przygotowywać się do złożenia profesji. Na Monte Argentario zapanował nastrój uniesienia i duchowego wesela, do czego przyczynił się też walenie kardynał Altieri udzielając tak bardzo upragnionego przywileju przechowywania Przenajświętszego Sakramentu w przyklasztornym kościele.

Całe Zgromadzenie rozpoczęło rekolekcje, a w niedzielę 4 czerwca Paweł mógł nareszcie umieścić na piersi – najpierw własnej, a następnie swych towarzyszy – znak Męki Pańskiej, ostateczne dopełnienie obrazu ujrzanego w widzeniu. Odtąd misjonarze z Monte Argentario przybiorą nazwę pasjonistów – wysłanników Kościoła mających głosić Chrystusa, i to Chrystusa ukrzyżowanego.

Niespożyta energia Pawła wciąż jednak porywała go naprzód. Przez całe życie sprawiał wrażenie człowieka rozpaczliwie zmagającego się z czasem. Przez kilka następnych miesięcy rozglądał się za nowymi polami pracy. Nasuwało mu się przy tym uporczywie wspomnienie Castellazzo i przyjaciół młodości. Chyba z radością przywitaliby jego pasjonistów? U Pawła zaś myślenie równało się działaniu, toteż uznał, iż nie ma po co czekać na zaproszenie z Castellazzo; trzeba samemu do nich napisać. Przyszedł mu na myśl dawny jego spowiednik, kanonik Cerutti. Wystosował więc do niego dnia 2 sierpnia list, w którym bezwiednie nakreślił własny wizerunek: „Otrzymawszy zatwierdzenie reguły,

żywię drogą mi nadzieję przybycia do Lombardii, by głosić tam misje. Wszystko skłania mnie do przekonania, że Bóg będzie mi błogosławił, jak błogosławił misjom głoszonym po miasteczkach i miastach tyłu diecezji w Toskanii, Umbrii i w państwie papieskim. Bóg Najwyższy, który rozdzielając swe dary wybiera »słabych a bezbronnych i bezrozumnych«, obdarzył mnie pewną umiejętnością (mówię to tylko prywatnie i po prostu dla wyjaśnienia). Raczył oświecić mnie na tyle, że potrafię układać kazania, nauki itp., oraz słuchać spowiedzi. Studiowałem też trochę i starałem się w miarę swych możliwości dokształcać. Toteż gdyby Bóg miał Księdza natchnąć myślą utworzenia mi drogi – a tym samym i drogi do innych diecezji – czy zechciałby Ksiądz łaskawie wspomnieć o tym księdzu biskupowi, jak również księdzu wikariuszowi generalnemu? Gdybym mógł przeznaczyć na to porę jesienną, przybyłbym chętnie, tym bardziej że mam pewne nadzieje pozyskania dobrego, apostolskiego pracownika dla mojego ledwo narodzonego zgromadzenia”³.

Tą samą pocztą wysłał drugi list tejże treści skierowany bezpośrednio do biskupa Alessandrii. Odpowiedź jednak, jaką otrzymał dwa tygodnie później, była raczej powściągliwa i wymijająca: „Przy pierwszej sprzyjającej sposobności przypomnę Waszej Wielbności wyrażoną gotowość przybycia, by pracować dla zbawienia moich owieczek”⁴.

Po co jednak miał Paweł pisać do biskupów odległych diecezji, kiedy miejscowości leżące tuż pod bokiem wielkim głosem domagały się jego usług. Obecnie w wieku lat czterdziestu siedmiu stał u szczytu swych apostolskich zdolności, gdyż należał do ludzi doświadczonych, którzy potrafią łączyć młodzieńczy zapał i poryw z doświadczeniem lat dojrzałych. Głosić misje nauczył się drogą

³ *Listy*, t. II, s. 275.

⁴ Archiwa św. Jana i Pawła, Rzym – Dziewięć lat później Święty został zaproszony do głoszenia misji z okazji roku jubileuszowego 1750, lecz z powodu nawału pracy nie mógł tego zaproszenia przyjąć.

najtrudniejszą – drogą nieustannej praktyki. Główną jego troską była obecnie troska o przekazanie owoców swej wiedzy towarzyszom, których po kolei zabierał ze sobą do pomocy w terenie. Jaki był naczelny kierunek jego nauczania – da się odczytać z tej części jego reguły, w której jest mowa o postępowaniu obowiązującym misjonarzy:

„Żadnemu z członków naszego niegodnego Zgromadzenia, który został wybrany do głoszenia słowa Bożego, niech nie będzie wolno posługiwać się w swych kazaniach stylem tak wzniosłym lub kwiecistym, iż staje się niejasny i niezrozumiały dla prostych ludzi i nieuczonych umysłów. Niechże łamie chleb słowa Bożego maluczkim, stosując jasny i zrozumiały sposób mówienia tak, aby jego wywody nie pozostały bezskuteczne, lecz przeciwnie – obfity ich owoc przyczyniał się do zwiększenia chwały Bożej”⁵.

Zaczęto w owym czasie gotować się do wznowienia wojny, w związku z czym hiszpańskie posterunki we Włoszech zostały znacznie wzmocnione. Wezwano wówczas Pawła do głoszenia całego szeregu misji w Orbetello, Port’Ercole i Porto Longone na wyspie Elbie. Słynne misje w Orbetello w 1741 r. długo pozostawały ludziom w pamięci. Miasto roilo się od żołnierstwa, na które składała się cała brygada artylerii i pół tuzina oddziałów piechoty, królewski pułk z Namur, pułk burgundzki i szwajcarski najemny regiment Beslera. Wąskie uliczki miasta mieniły się tęczą różno-barwnych mundurów, epolet i akselbantów zielonych, błękitnych, białych, pozłocistych... Miasto zamieniło się w istną wieżę Babel, w której mieszały się języki: włoski, hiszpański, francuski, niemiecki i flamandzki. Na głównym placu, gdzie ustawiono wzniesienie, służące za kazalnicę, płomienna wymowa św. Pawła od Krzyża wstrząsała słuchaczami jak chyba nigdy dotąd. Nakazawszy żołnierzom, by włożyli czapki, gdyż słońce prażyło niemiłosiernie, sam stał z gołą głową przeszło dwie godziny, podczas których jego potężny głos unosił się nad milczącą ciżbą. W odpo-

⁵ Reguła, rozdz. XXIII, par. 191.

wiedzi na jego wezwanie ludzie poczęli znosić całe naręcza niemoralnych ksiąg i ohydnych rycin, stosy kart i pełne garście kostek do gry, które w jego obecności rzucali w ogień. Na zakończenie misji odbyła się olbrzymia procesja pokutna. Dziewięć tysięcy żołnierzy ustawionych szóstkami, z powagą w oczach maszerowało w skupieniu, a za nimi Święty kroczył boso, dźwigając ciężki krzyż. Jakkolwiek wyznaczono aż trzymilową trasę procesji, czoło pochodu zdążyło już wrócić do kościoła, zanim Święty jeszcze wyruszył. Siedemdziesięciu nawróconych wyrzekło się herezji przed zakończeniem misji.

Wiadomo jednak, że taka rozplamieniona przez misje żarliwość przeważnie rychło stygnie, a ich skuteczność zazwyczaj jest tylko chwilowa i szybko przemija. Paweł zdawał sobie z tego sprawę i ubolewał nad tym w swych listach:

„Ach, gdybyż to owoce misji były trwałe, jakże ludzie byłiby szczęśliwi. Zaprawdę bowiem zostają przez nie z gruntu oczyszczeni, przemienieni, zbudowani i innych budujący. Całe zmartwienie w tym, że przeważnie nie możemy pozostawić za sobą nikogo, kto by potrafił stanąć jak mur wokół domu Izraela”⁶.

Mimo to skutki misji św. Pawła od Krzyża były widoczne jeszcze długi czas po ich zakończeniu. Pewien francuski oficer z załogi z Orbetello – Klaudiusz de Hainaut, pułkownik burgundzkiego regimentu, twierdzi, że kazania Pawła powodowały „zdumiewające nawrócenia”.

„Wiadomo mi było z całą pewnością – oświadczył – że wielu spośród ludzi, którzy garnęli się do spowiedzi, co najmniej od dwudziestu, a nieraz więcej lat nie uczęszczało do sakramentów świętych. Korzyści duchowe misji ojca Pawła w Orbetello w czasie mojego tam pobytu – dodaje pułkownik – były tak wielkie, że cała załoga była jak gdyby duchowo odrodzona. Ta przemiana trwała przez długie miesiące, a była tak gruntowna, że wszyscy, zarówno oficerowie, jak żołnierze i ludność cywilna,

⁶ *Listy*, t. II, s. 229.

unikali gier i zabaw nawet dozwolonych. Byłem naocznym świadkiem tych skutków”⁷.

Mocne słowa Pawła, które tak celnie umiały trafić do serc żołnierskich, potrafiły również znaleźć drogę do złoczyńców i różnych wyrzuconych za nawias społeczeństwa mętów, stanowiących istną plagę tamtejszych okolic. Nie były to żadne pospolite opryszki, lecz prawdziwi władcy podziemnego świata, rządzący nim żelazną pięścią. Pomiedzy bandami tych zbrodniarzy a silnymi nieraz oddziałami policji dochodziło niekiedy do formalnych krwawych bitew. W Toskanii pewien przywódca podobnej bandy był tak potężny, że patrole policyjne musiały ubiegać się o jego pozwolenie, by móc bezpiecznie przedostać się przez jego rewiry. Ilekroć zaś nie zdołały go uzyskać, były zmuszone wycofać się lub szukać innej drogi.

Niewielu chyba misjonarzy zdobyłoby się na odwagę podjęcia próby nawracania takich dusz. Ale Paweł był nieustraszony i nie cofał się przed niczym. Stateczni, przyzwoici ludzie nie mogli wyjść ze zdumienia na widok jego przyjaznych stosunków z tymi wyrzutkami społeczeństwa. Lecz on się ich bynajmniej nie wstydził. Całkiem spokojnie i bezpiecznie wędrował sobie przez Marmę, gdyż – jak powiadał – „mam tam mnóstwo przyjaciół”. A gdy pewien ksiądz zauważył żartobliwie: „Gdybym był papieżem, to bym ojca ogłosił patronem bandytów”, Święty przyjął jego słowa z uśmiechem, uważając je za coś w rodzaju komplementu. Bóg udzielał mu szczególnego daru zjednywania sobie podejrzliwych serc złoczyńców. Toteż słuchając ich spowiedzi, okazywał im szczególną wyrozumiałość i miłosierdzie. To serdeczne podejście, tak różne od tego, do czego dotąd przywykli, pozyskiwało ich ufność i doprowadzało do trwałych nawróceń.

Te raptowne wkroczenia na przeważnie dotąd nieznaną drogę uczciwości bywały niekiedy zaprawione sporą dawką specyficznego humoru. Pewien przywódca bandy wpadł na dość osobliwy

⁷ *Akta wstępnego procesu*, s. 112, II.

sposób okazania swej wdzięczności. „Ojcze Pawle – rzekł – dziękuję ci za twoją dobroć. Oddałbym życie za ciebie. Jeżeli masz jakiegoś wroga, to powiedz mi tylko, a ja już potrafię go wykończyć”. Na twarzy Pawła stłumiony uśmiech zabarwił surowość, z jaką skarcił go za mówienie podobnych rzeczy. Inne znów niecodzienne spotkanie miało miejsce w Maremmach, kiedy to pewnego razu wysunął się z krzaków uzbrojony po zęby bandyta, który zagroził drogę Pawłowi i jego towarzyszom. Spojrzeli na niego bez lęku, aż opryszek wskazawszy na Pawła rozkazał: „Ojcze Pawle, chodź ze mną”. Paweł, wzruszywszy tylko ramionami udał się za nowym kompanem w głąb lasu. Gdy przedzierając się przez gęstwinę uszli spory szmat drogi, Paweł zapytał w końcu bandytę, czego właściwie od niego chce. Ale tamten nie rozchmurzając oblicza odpowiedział tylko: „Naprzód, dalej w las”. Wówczas dopiero Święty zaniepokoił się nieco i począł modlić się o opiekę Boską. Aż oto bandyta znienacka odwrócił się na pięcie: „Ojcze, ja chcę się wyspowiadać”. Na co Paweł upomniał go łagodnie: „Synu drogi, nie mogłeś tego wcześniej powiedzieć? Poczekaj no tu chwilę, aż zawiadomię moich towarzyszy”. I popędził ku nim, by wkrótce powrócić i wysłuchać spowiedzi niezwykle penitenta. Nic dziwnego więc, że w miarę jak takie wypadki poczęły się mnożyć, świat przestępczy z pontyjskich mokradeł w końcu określił sytuację jednym krótkim zdaniem: „Nie ma innego wyjścia jak pójść wyspowiadać się u ojca Pawła”.

Zarówno żołnierze, jak i złoczyńcy doznawali tego samego wrażenia. Płomienna wymowa Pawła budziła w nich zbożne przerażenie. Jeden z nawróconych rzezimieszków wyznał naiwnie: „Ojcze Pawle, jak słyszę cię mówiącego, drzę od stóp do głowy”. A pewien wyższy oficer armii hiszpańskiej, który z pewnością nie był tchórzem, powiedział mu po odbytej spowiedzi: „Byłem nieraz w ogniu w czasie wojny, stałem pod ostrzałem nieprzyjacielskich pocisków i nigdy się ich nie bałem. Ale kiedy mówi ojciec, to aż się trzęsę”. Paweł bowiem do swej zachęty do pokuty dołączał zawsze groźbę pomsty Bożej w razie, gdyby wezwanie to miało

przebrzmieć bez echa. Gdy w 1743 r. wybuchła w Kalabrii zaraza, upatrywał w niej dowód Bożego gniewu, skoro pisał:

„Ach, biedny ten świat, Bóg długo okazywał mu cierpliwość, ale teraz poczyną dobywać miecza. Posłuchaj tu pokrótce, co Bóg nakazał mi mówić i co wciąż powtarzam, już nie wiem ile razy w ciągu przeszło dziesięciu lat. Ale to Bóg nakazywał mi mówić... Toteż nieustannie oznajmiałem wiernym, że jeśli nie będą skłonni do wyciągnięcia korzyści z naszych misji, Bóg Najwyższy przybędzie z własną misją, misją grozy i trwogi wielkiej... Oczywiście wyrażałem to w słowach wiele mocniejszych i bardziej nagłych, aniżeli w tym liście”⁸.

Nie były to czcze słowa, gdyż towarzyszyła im potęga – straszliwa potęga świętości. „Pan dopomagał i utwierdzał mowę przez cuda w ślad idące” (Mk 16,20). Sam już zewnętrzny wygląd kaznodziei przydawał wagi temu, co głosił. Toteż ilekroć wstępował na platformę, z której przemawiał, robiło się cicho jak makiem zasiał i to milczenie zgromadzonych – mimowolny hołd złożony mistrzowskiej wymowie – trwało przez cały czas kazania. Jego pokutnicze życie wycisnęło swe piętno na jego chudej postaci i ascetycznych rysach. Niczym drugi Jan Chrzciciel, przybywał z pustyni jako zwiastun nowiny zbawienia, a z ust jego płynęły słowa, będące jakby echem wołania: „Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się Królestwo niebieskie” (Mt 3,2).

Podczas drugiej jego misji w Pitigliano kilku niedowiarków usiłowało publicznie ośmieszyć misjonarza i zmusić go do opuszczenia miasta. Zebrali się w czasie kazania tuż koło kościoła w aptecę, należącej do jednego z nich, i poczęli walić młotkiem w spiżowy moździerz czyniąc taki harmider, że niepodobna było dosłyszeć słów kaznodziei. Paweł posłał kogoś do nich z żądaniem, aby przestali tej zabawy dodając, że aptekarz powinien był zamknąć sklep na czas trwania nabożeństwa. Odpowiedzieli bezczelnie, że są w prywatnym domu i mogą robić co im się podoba;

⁸ *Listy*, t. II, s. 281.

aptekarz zaś dorzucił jeszcze: „Co on sobie wyobraża, kim on jest? Ani myślę zamykać sklep”. Na co Paweł krótko i bez namysłu odpowiedział wobec całego zgromadzenia: „Jego sklep pozostanie otwarty, ale nie dla niego. A tamci niech się mają na baczności, bo gniew Boży już nad nimi wisi”. Słyszając tę przestrożę ryknęli gromkim śmiechem. Ale ich zły przykład powstrzymał wielu od uczęszczania na misje i znacznie osłabił ich skuteczność. Paweł opuszczając miasto strzepnął jego kurz ze swych sandałów, aby w myśl ewangelicznych słów ostrzec je przed karą Bożą gotową spaść na jego mieszkańców. Wypadki potwierdziły słuszność jego słów i czynu. Spośród tych, którzy wszczęli zamieszanie, pięciu zginęło nagłą i straszną śmiercią. Zwłoki tego, który bił w mózdzierz, wyniesiono na pogrzeb z domu rozpusty. Aptekarz zbankrutował i jego interes przeszedł w inne ręce, a on sam żył o żebraczym chlebie. Sklep jego pozostał rzeczywiście otwarty, ale nie dla niego. W końcu wybuchła w mieście zaraza, której ofiarą padło siedmiuset ludzi.

Tego rodzaju sprzeciwy stanowiły tylko część krzyży towarzyszących misjonarskiej pracy Pawła. Były i inne. Niezwykle boleśnie odczuł zakaz biskupa z Civita i Orte, który nie podając powodów, odmówił zarówno Świętemu jak i wszystkim innym pasjonistom wstępu do swej diecezji i głoszenia misji w którejkolwiek z jego parafii. W Viterbo jakiś niezbyt taktowny ksiądz zagadnął go w zakrystii tuż przed rozpoczęciem kazania i oświadczył, że stanowczo przesadza w tym popisywaniu się apostolską gorliwością. Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał Paweł – bo przecież i święty nie jest pozbawiony wrażliwości – opanować się powtarzając szeptem akt strzelisty: „O Panie, pokory i cierpliwości. Pokory i cierpliwości”.

Były to jednak drobne tylko incydenty, wobec stale napływających zewsząd prośb o misje. Niektóre pochodziły ze stron, w których pasjoniści nie byli dotąd znani, między innymi z Vetralla koło Rzymu, dokąd biskup z Viterbo zaprosił Pawła na misje w 1742 r. Misje te spotkały się z takim powodzeniem, że już mie-

siąc później tamtejsza rada miejska jednogłośnie uchwaliła ofiarowanie mu na nową fundację dawnego klasztoru benedyktynów pod wezwaniem św. Michała Archanioła, zwanego potocznie San Angelo. Sprzeciwy wysunięte przez sąsiedni zakon franciszkanów spowodowały trudności ciągnące się z górą rok, tak iż Paweł w końcu już niemal stracił nadzieję, aby projekt ten mógł dojść do skutku. Z Rzymu ksiądz Geragni, chcąc dodać mu otuchy, pisał: „Śmiem powiedzieć ku pocieszeniu Ojca, że otwarła się przed Waszym Instytutem droga wiodąca do szerokiego rozprzestrzenienia. Toteż proszę nie ustawać w modlitwie..., wydaje mi się bowiem, że Pan nasz pragnie Was widzieć w niejednej miejscowości wokół Rzymu”.

Trudności hamujące powstanie nowej fundacji zostały przedstawione Benedyktowi XIV, który niezwłocznie udzielił wszelkich uprawnień potrzebnych do natychmiastowego objęcia przez pasjonistów klasztoru w Vetralla. Przyczyniły się do tego, bez wiedzy Pawła, inne jeszcze życzliwe wpływy. Oto kardynał Aleksander Albano w czasie wakacji spędzonych w Soriano, tyle nasłuchiwał się zachwytów na temat misji w Vetralla i nowego zakonu, że po powrocie do Rzymu wezwał do siebie księdza Geragni, by omówić z nim powyższy przez siebie zamiar. I oto niebawem wszystko już było przygotowane na przyjęcie nowej fundacji w Soriano przy kościele św. Eutycjusza, męczennika. Również i tym razem sprawa została rozstrzygnięta dzięki czynnej ingerencji papieża, który na mocy swej apostołskiej władzy udzielił wszystkich potrzebnych uprawnień i polecił miejscowemu biskupowi, „aby całym autorytetem poparł, przeprowadził i założył to dzieło, wykonując tym samym – i to bezzwłocznie – zalecenia Jego Świątobliwości”.

Podczas gdy te zamierzenia pozyskiwały, sobie i zaprzętały uwagę najwyższych władz w Rzymie, Paweł powrócił do swej umiłowanej samotni na Monte Argentario, by tam ochłonać nieco po trudach wyjątkowo ciężkiego okresu działalności misjonarskiej. W samotni Ofiarowania zastał nowe dowody błogosławieństwa Bożego nad zgromadzeniem w postaci kilku znakomitych kandy-

datów, którzy się doń zgłosili z prośbą o przyjęcie. Tym samym liczba nowicjuszków wzrosła do dwunastu. Do grona tych najpierwszych pasjonistów należeli tacy ludzie, jak o. Marek Aureliusz od Najśw. Sakramentu, niezwykle gorliwy kapłan, były rektor kolegium z Civitavecchia; o. Franciszek Antoni od Ukrzyżowanego, ostatni potomek rodu Appianich, dawnych książąt Piombino; o. Tomasz Struzzieri, słynny kaznodzieja, który z czasem został biskupem Todi; o. Fulgencjusz od Jezusa, jeden z najwierniejszych, najbardziej oddanych uczniów Pawła.

Gdy wiadomość o dwu nowych kandydatach dotarła do Monte Argentario, Paweł powitał ją, rzecz jasna, uniesieniem radości. Ale znalazł się też w niemałym kłopotcie. Bo kimże tu obsadzić domy w Soriano i Vetralla? Wystosowano więc podanie do papieża z prośbą o zezwolenie na przyspieszenie profesji dwunastu nowicjuszy, które zostało szybko przychylnie załatwione. A w pierwszym tygodniu marca 1744 r. mógł już Paweł dzień po dniu dokonać otwarcia swych dwu nowych klasztorów. Ojciec Jan Chrzyciel został wyznaczony przełożonym w Vetralla, dokąd sprowadził się z czterema zakonnikami, a o. Marek Aureliusz objął dom Soriano wraz z jeszcze szczuplejszą garstką zaledwie trzech towarzyszy.

Samotnia św. Aniela w Vetralla miała stać się dla Pawła ulubionym miejscem pobytu. Ilekroć zdarzyło mu się chwycić chwilę wolną od misjonarskiej pracy, wyruszał ku tej cichej samotni, w której mógł całkowicie odgrodzić się od świata, gdyż leżała aż o trzy mile od najbliższego miasta. Wystarczyło wspiąć się na szczyt pagórka za klasztorem, by ujrzeć w oddali na północy-zachodzie zarysy Monte Argentario, kolebki zgromadzenia. Samotność stanowiła dla Pawła zawsze nieodzowne tło modlitwy i kontemplacji. Czuł się tak szczęśliwy w Vetralla, że gdy spostrzegł zbliżanie się śmierci, prosił, by go pochowano w tym zaszytym wśród lasów ustroniu.

Teraz, gdy już trzy klasztory zostały założone – mimo iż daleko im jeszcze było do kwitnącego stanu – a liczba kandydatów wzra-

stała, mógł Paweł odważyć się na przedłożenie Benedyktowi XIV prośby o bardziej formalne zatwierdzenie. I znów papież wyznaczył trzech kardynałów, którym polecił ponowne rozpatrzenie reguły. Czy była kiedy reguła, którą by tylokrotnie i tak wnikliwie przebadano? Tym razem kardynał Girolami określił ją jako zbyt surową i zaproponował wprowadzenie zmian dotyczących ubóstwa. Zastrzeżenia jego odrzucono jednak większością głosów i brewe zatwierdzające regułę zostało ogłoszone 28 kwietnia 1746 r. Teraz już czas było pomyśleć o umocnieniu pionierskiego dzieła, przed którym droga rozwoju stanęła otworem. Paweł zwołał zatem pierwszą kapitułę generalną, czyli zebranie przełożonych. Odbyła się ona równo rok później na Monte Argentario i jakkolwiek liczebnie skromna (tylko trzech uczestników), była ogromnie doniosła w skutkach. W kwietniu św. Paweł od Krzyża został obrany przełożonym generalnym Zgromadzenia Krzyża i Męki Pańskiej. Miał już wówczas pięćdziesiąt trzy lata. I mogło mu się zdawać, że najgorsze trudności ma już teraz poza sobą, a odtąd otwiera się przed nim okres pełen spokoju i niezmałconej pracy. Nie przeczuwał, że stoi u progu najburzliwszych czasów swego życia.

V ODMĘTY GORYCZY 1748–1758

Nowy rok 1748 rozpoczął się dla Pawła pomyślnie. W pierwszej połowie stycznia objął w posiadanie nową samotnię w Ceccano, w Kampanii Rzymskiej, a przed końcem marca założono piąty klasztor w etruskiej miejscowości Toscanella. Inicjatywa założenia klasztoru w Ceccano wyszła od okolicznej ludności pod wrażeniem rosnącej sławy głosicieli Męki Pańskiej. Właśnie stał pustką kościół i pustelnia pod wezwaniem św. Marii z Coriano, mieszkańcy Ceccano zwrócili się więc do biskupa z prośbą o sprowadzenie pasjonistów. Biskup Borgia z Ferentino szczerze pochwalił ten zamiar i powiadomił o nim Pawła. Ojciec Tomasz wysłany na inspekcję nowego nabytku uznał, że nadaje się znakomicie na klasztor. Kościółek mały, ale śliczny, a budynki proste i bezpretensjonalne wznosiły się w ustronnym zakątku. Tak korzystna ocena domagała się natychmiastowego działania. Toteż Paweł, po spędzeniu świąt Bożego Narodzenia w Vetralla, już 14 stycznia, w uroczystość Najświętszego Imienia, dokonał otwarcia swego czwartego klasztoru. Nie zwlekając, przystąpiono do kampanii misyjnej. Paweł rozesłał swych najlepszych kaznodziejów po sąsiednich parafiach, biorąc na siebie misje w samym Ceccano, mimo iż był tak chory, że już po trzech dniach inny ojciec musiał go zastąpić.

Projekt sprowadzenia pasjonistów do Toscanella powstał jeszcze w 1743 roku po misjach głoszonych w tym mieście przez św. Pawła. Wskutek nieprzewidzianych trudności sprawa ciągnęła się przez pięć lat do czasu, gdy na prośbę biskupa papież Benedykt XIV ponownie zainterweniował umożliwiając załatwienie potrzebnych formalności. W lutym Paweł wyruszył z Monte Argentario, lecz przybywszy do Toscanella, stwierdził ze zdumieniem, że nie poczyniono żadnych przygotowań na przyjęcie zgromadzenia, które ze sobą przyprowadził. Bardzo mu zależało na ubóstwie, to jednak już nie było ubóstwo, lecz nędza. Budynek zupełnie nie nadawał się do zamieszkania, a Paweł nie mógł przecież narażać życia swych braci. Umieszczenie ich w takiej ruderze zakrawało przecież na lekceważenie ich zdrowia, jeśli nie skazanie ich na niechybną śmierć. Choćby kosztem narażenia się na zarzut niekonsekwencji, lepiej było chyba powrócić na razie do Vetralla. Biskup jednak znalazł kompromisowe rozwiązanie proponując, aby pasjoniści zamieszkali w mieście do czasu doprowadzenia klasztoru do stanu użytkowania. Rozpisano subskrypcję na pokrycie kosztów. Na czele listy ofiarodawców figurował sam biskup Borgia, który hojną ręką złożył na ten cel aż pięćset koron. Jego przykład zachęcił całą miejscową ludność, że już po upływie miesiąca klasztor został gruntownie odremontowany i 27 marca 1748 r. Paweł mógł objąć w posiadanie swą piątą samotnię.

Pierwsze zgromadzenie w Toscanella zostało jednak narażone na ciężki niedostatek. Święty z właściwą sobie prostotą stwierdził: „Nigdy jeszcze nie znaleźliśmy się dotąd w tak ubogiej samotni..., ale zakonnicy są szczęśliwi i zadowoleni”. Nie mieli na przykład żadnych sztuców, lecz Paweł, jak zawsze praktyczny, wpadł na pomysł sporządzenia drewnianych łyżek i widelców.

Pewnego razu, gdy nie było w domu już nic do jedzenia, oznajmił tę wiadomość ogłędnie: „Ponieważ dzisiaj jest dzień postny – powiedział z uśmiechem – spożyjemy tylko skromny obiad, a już o wieczorny posiłek jakoś się Pan Bóg zatroszczy”. To zawierzenie Opatrzności nie zawiodło go, gdyż pod wieczór jakiś

nieznany dobroczyńca nadesłał kosz chlebów. Najofiarniejszej pomocy doznało zgromadzenie od biednej, pracującej dziewczyny, która dowiedziawszy się przypadkiem o jego kłopotach, natychmiast wyruszyła, by coś dla nich ukwestować i niebawem z triumfem przyniosła do klasztoru obfity plon swych wysiłków w postaci sporych zapasów żywności.

Szybkie rozprzestrzenianie się nowego zgromadzenia było niewątpliwie też wynikiem łatwości, z jaką zdobywało odpowiednie pomieszczenia. W wielu diecezjach znajdowały się pustelnie i małe miejskie kościołki całkowicie opuszczone od czasu, gdy pod rosnącym naciskiem nowoczesnych warunków życie pustelnicze zaczęło chylić się ku upadkowi. Miejscowe władze, zarówno duchowne jak i świeckie, gotowe były jak najchętniej powitać każdego, kto mógł je zwolnić od obowiązku konserwacji takich obiektów; toteż mogły się tylko cieszyć z możliwości przekazania ich młodemu, prężnemu zgromadzeniu. Na skutek stałego rozszerzania się pola misjonarskiej działalności oraz dzięki powszechnie ustalonej reputacji Pawła, pasjoniści zyskiwali coraz większy rozgłos. Ich gorliwość i umartwienia budziły ogólny podziw. Nie trzeba było więc wyszukiwać miejsc na nowe fundacje, skoro bywały one ofiarowane samorzutnie przez biskupów i wiernych. Niemniej, z wyjątkiem klasztoru na Monte Argentario, wszystkie fundacje założone przez św. Pawła od Krzyża spotkały się w tym czy innym stopniu z opozycją miejscowych zakonów żebrzących (zwanych we Włoszech *Frati*), którym przysługiwał nadany przez papieża przywilej zabraniający zakładania bez ich zezwolenia i zgody nowych fundacji w promieniu czterech mil od ich klasztorów. Interpretacja tego przywileju była nieraz naciągana poza wszelkie dopuszczalne granice, aż do twierdzenia, że wymagana odległość nie została zachowana, mimo iż fałszywość tego twierdzenia została wykazana na podstawie dokładnych pomiarów. W wypadkach, gdy nowy dom Pawła powstawał z inicjatywy jakiegoś kardynała, jak np. samotnia św. Eutycjusza w Soriano, taki książę Kościoła mógł bez trudu uzyskać od papieża reskrypt zwalniający od ubiegania się o pozwolenie

miejscowych *Frati*. Pięć spośród nowych klasztorów pasjonistów powstało właśnie na mocy takiej papieskiej dyspensy. Trzy inne fundacje jednak stały się przedmiotem długotrwałych zabiegów i starań w Rzymie, zanim pasjoniści mogli nareszcie wejść w posiadanie swych domów.

Zanim burza rozszalała się na dobre, zanosilo się na nią już długo przedtem. Jedni wyrażali się uszczypliwie o nowo założonym Zgromadzeniu Męki Pańskiej, inni znów pod wpływem czy to złe pojętej gorliwości, czy po prostu zwykłej zazdrości utrudniali powstanie zamierzonej fundacji. W końcu dwanaście klasztorów *Frati* zapoczątkowało regularną kampanię, mającą na celu ni mniej ni więcej tylko całkowite unicestwienie i oficjalną kasatę zgromadzenia pasjonistów. Nie należy rozgrzebywać lekkomyślnie prochów dawno zagasłych sporów, jednak zwykle stwierdzenie historycznych faktów – gdy dziś już od dawna należą do przeszłości – nie powinno już nikogo rozsądnego urazić. Pierwszym posunięciem wspomnianej kampanii było wręczenie papieżowi memoriału zawierającego wykaz rzekomych powodów do skargi. Nowe zgromadzenie zostało w nim opisane w sposób wysoce niepochlebny, by nie powiedzieć krzywdzący, a jego członkowie określani na przemian jako mąciciele spokoju publicznego, wilki w owczej skórze, podstępni natrętni oszuści, podejrzani o herezję, jeśli nie wręcz heretycy. Papież Benedykt XIV był bardzo niemile zaskoczony tą sprawą. Pierwszą jego reakcją był odruch zniecierpliwienia. „Czego oni chcą? Żebyśmy własnoręcznie zburzyli to, co sami zbudowaliśmy?” – zapytał z oburzeniem. Po rozpatrzeniu petycji zmartwił się jeszcze bardziej, gdyż jakkolwiek powody wytoczonych zarzutów były najzupełniej jawne, to jednak nazwiska podpisanych były zbyt poważne, a znajdowały się wśród nich i takie, które Ojciec św. zbyt wysoko cenił, aby je mógł zignorować¹.

¹ Dziwnym trafem petycja ta została wręczona papieżowi przez kapłana wielkiej świętości, słynnego misjonarza, który miał być w przyszłości wyniesiony na ołtarze – ojca Leonarda z Porto Maurizio. Pod koniec życia gorzko

Wobec tego papież postąpił tak, jak w tych warunkach postąpić musiał. Bez względu na to, czy zarzuty były słuszne czy fałszywe, należy rzecz gruntownie zbadać. Nie ulega wątpliwości, że sprawa musiała jednak nadal trapić papieża, skoro oświadczył dość szorstko, że nie zamierza jej z kimkolwiek omawiać. Gdy kardynał Gentili próbował wstawić się za Pawłem, Benedykt XIV gwałtownym ruchem ręki nakazał mu milczenie. „Proszę mi o tym nie wspominać — uderzył wierzchem dłoni w papier leżący przed nim na stole — proszę zobaczyć, jaką tu petycję otrzymałem przeciwko jego zgromadzeniu”.

Paweł doskonale wiedział o tych tak zręcznie puszczanych w obieg kalumniach na temat jego osoby i jego instytutu. W prywatnym liście wspomina nawet o sławetnej petycji pisząc z właściwym sobie dowcipem: „Krótko mówiąc, wynika z tego, że jesteśmy gorsi niż Luter, Mahomet i Kalwin”. Tymi żartobliwymi słowami starał się jednak tylko pokryć rosnący lęk przed niebezpieczeństwem zagrażającym jego dziełu, z głębokim zatroskaniem bowiem zdawał sobie sprawę, że „istnienie zgromadzenia wisi na nitce, na włosku”. Nigdy nie usiłował się usprawiedliwiać, nie powiedział ani słowa na własną obronę. Lata pokuty, które zahartowały go jak stal, pozwoliły mu dorosnąć do wymagań tego hasła: „Cierp i milcz”².

Papież Benedykt XIV był jednak człowiekiem rozważnym, o bystrym, przenikliwym umyśle prawnika i kanonisty. Sprawiedliwości nic tak nie służy, jak prawda. Toteż papież postanowił dojść prawdy. Wyznaczył tajną komisję kardynałów, coś w rodzaju małej inkwizycji, która otrzymała bezpośrednio od papieża polecenie przeprowadzenia jak najściślejszych dochodzeń dotyczących się samego Pawła i jego zgromadzenia. Pasjoniści mieli niejako

żałował tego kroku: „Teraz wiem i widzę, iż Bóg pragnął istnienia tego Zgromadzenia. Zawsze odczuwałem wielką przykrość na myśl o roli, którą w tej sprawie odegrałem. Uczyniłem to jednak pod posłuszeństwem” (O. Luca CP, op. cit., s. 390–391).

² Znajdujemy to sformułowanie w jednym z jego listów (*Listy*, t. II, s. 312).

być obejrzeni pod mikroskopem przez biegłych naukowców i to badanie miało uwzględnić wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły, żadnego nie pomijając. A więc zarówno zasady doktrynalne, jak styl kazań, metody apostołowania, obserwę zakonną, osobisty charakter każdego poszczególnego zakonnika. Szczegółowe kwestionariusze zostały rozesłane do wszystkich diecezji, gdzie pasjoniści głosili misje.

Biskup z Ferentino był jednym z pierwszych, który odesłał bardzo pochwalne sprawozdanie z działalności zgromadzenia. Było ono podpisane nie tylko przez samego biskupa, ale i przez całą kapitułę katedralną oraz wielu spośród wybitniejszych obywateli miasta, gdyż wieść o przeprowadzonych dochodzeniach przesiąkła do wiadomości publicznej i ludzie nie posiadali się z oburzenia na to – jak określali – prześladowanie pasjonistów. Druga odpowiedź napłynęła od biskupa z Alatri, Jana Franciszka Cavilini, który stwierdził, iż miał możliwość przekonać się osobiście o zbawiennych skutkach misji prowadzonych przez ojców pasjonistów w jego katedralnym mieście. Ponadto było mu dobrze znane wzorowe życie tych kaznodziejów, toteż mógł w pełni ręczyć za ich gorliwość oraz ortodoksyjność ich nauk. Dlatego pragnął nie zwlekając powiadomić o tym kardynałów. W miarę jak napływały raporty innych biskupów, siła dowodowa tych dokumentów stała się nieodparta, tak iż treść orzeczenia komisji nie mogła nasuwać żadnych wątpliwości.

Sprawa została istotnie rozstrzygnięta całkowicie na korzyść pasjonistów, gdyż komisja stwierdziła w swym sprawozdaniu, że w swych samotniach oddają się pokucie i umartwieniu, na misjach z apostolską gorliwością głoszą prawdy wiary, w swych klasztorach zaś ściśle przestrzegają reguły i odznaczają się wybitnym duchem modlitwy, w końcu zaś, że wszyscy jak jeden mąż okazali heroiczną cierpliwość w znoszeniu oszczerstw i w przebaczeniu tych napaści. Jeden z kardynałów w zaufaniu powiedział później Pawłowi, że papież z uniesieniem radości powitał te pochwalne wieści o „swoich pasjonistach”.

Zbliżał się rok jubileuszowy 1750. Korzystając ze sposobności okazania św. Pawłowi dowodów zaufania, Benedykt XIV zlecił mu głoszenie kazań w kościele św. Jana dei Fiorentini w Rzymie.

Paweł wymawiał się jak mógł od tego zaszczytu, ale papież nie ustąpił. I tak się stało, że człowiek, któremu ongiś jako włóczędze wzbroniono wstępu do pałacu papieskiego, a później zarzucano, że jest oszustem i obludnikiem, miał teraz, na zlecenie Najwyższego Pasterza, głosić kazania w Wiecznym Mieście, stolicy chrześcijaństwa.

Jednak przeciwników Pawła nie tak łatwo dało się zmusić do milczenia. Skoro wysiłki zmierzające do uzyskania kasaty pasjonistów chybiły celu, trzeba było sobie jakoś powetować sromotną porażkę nowym atakiem domagającym się tym razem przynajmniej zamknięcia samotni w Ceccano, aby choć tą drogą osiągnąć częściowe zwycięstwo. Stare kłopoty, mimo iż teraz już bardziej zlokalizowane, odżyły na nowo, z powoływaniem się na te same co i dawniej „odwieczne prawa pogwałcone lub zagrożone, naruszone przywileje itd.” Paweł głęboko zatroskany śledził rozwój wypadków. Jego ówczesne uczucia najlepiej obrazuje jego list do o. Fulgencjusza:

„Nasze sprawy przedstawiają się jak zwykle, co znaczy innymi słowy, że burza się bynajmniej nie uspokoiła. Odniesiemy jednak zwycięstwo w Chrystusie po wycierpieniu wielu udręczeń na widok naszej przegranej. Nie ustawajcie w modlitwach. Albowiem dobry Bóg albo nie życzy sobie istnienia naszego zgromadzenia w swym Kościele (choć w głębi serca nie mogę jakoś w to uwierzyć), albo też Jego Boski Majestat pragnie uczynić nam wielkie rzeczy, wywyżżyć to zgromadzenie i rozprzestrzenić je od morza do morza – moim zdaniem bowiem nie było, o ile wiem, drugiego nowo założonego zakonu na przestrzeni dziejów, który by musiał wycierpieć tyle udręk i prześladowań.

Wiedz, Najdroższy Ojcze, że już przygotowano zarządzenie nakazujące nam... zrównanie z ziemią budynków samotni w Ceccano i zakazujące nam raz na zawsze zakładania nowych samotni w tamtych stronach. A uzyskali to wszystko od Świętej Kongregacji. Co Wasza Wielebność powie na to?

Czekam teraz na dekret nakazujący nam opuszczenie samotni. Pragnąłbym jednak, aby Ojciec był przekonany, że w końcu z pewnością wygramy, przedtem jednak musimy znieść wiele utrapień. Miotają mną straszne nawałnice (ale proszę zachować to dla siebie), beznadziejność zewnętrzna i wewnętrzna, a szatani pastwią się nade mną w straszliwy sposób, tak iż wydaje mi się, że nie ma już we mnie ani wiary, ani nadziei, ani miłości. Ach, jakież to okropny stan. Nikt jednak nie wie o tym, ani tego nie zauważa – inaczej wylękliby się wszyscy. Ach, co się ze mną dzieje, co się stanie ze mną, nieszczęsnym”³.

Paweł gotów był dla świętego spokoju wyrzec się swych praw. Wysłał do zgromadzenia w Ceccano wyraźne polecenie opuszczenia samotni natychmiast po otrzymaniu pierwszego rozporządzenia z Rzymu. Wiadomość o tym w jakiś sposób przedostała się do miasta, gdzie ludzie natychmiast oświadczyli, że zrobią wszystko, aby do tego nie dopuścić. Gdy pewnego razu kilku pasjonistów wybrało się na zwykłą przechadzkę, lotem błyskawicy obiegła całą okolicę pogłoska, że zakonnicy opuszczają samotnię. Natychmiast, czy to w sklepie czy w polu, w wiejskich zagrodach czy miejskich kamienicach, ludzie rzucili robotę, każdy chwycił pierwsze lepsze narzędzie, jakie mu wpadło w rękę i wszyscy pognali co tchu w kierunku gościńca, by ojców powstrzymać lub w razie potrzeby stanąć w ich obronie. Na próżno usiłowali zakonnicy im tłumaczyć, że jeszcze nie odchodzą, a jeśli kiedykolwiek odejdą, to tylko pod posłuszeństwem. Wszyscy ci prości ludzie niewiele jednak sobie robili z posłuszeństwa. Toteż dla uspokojenia wzburzonych umysłów, musieli zakonnicy czym prędzej powrócić do klasztoru, do którego chciano ich wprowadzić siłą. Paweł przybył na krótki czas do Ceccano, by tchnąć otuchę w serca swych zgnębionych synów. Ale gdy przyszło do czego, nie potrafił zdobyć się na żadne słowo. Ukłąkł wtedy u stóp krzyża, wzywając zgromadzenie do roz-

³ *Listy*, t. II, s. 151, 154.

ważania tych słów Chrystusowych: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią”.

Sprawa wlokła się w nieskończoność i Paweł bywał kilkakrotnie wzywany do stawienia się przed trybunały kościelne dla jej oświe-tlenia ze swego punktu widzenia. Rzecz znamienna, że nie zgodził się na żadną oficjalną obronę, co uzasadnił zwięźle oświadczając, że „biedni ludzie nie mogą sobie pozwolić na prawowanie się”. Jedyłą jego bronią była cierpliwość, milczenie, miłość oraz świa-domość, że słuszność jest po jego stronie. Nie brakowało mu jednak obrońców, gdyż miejskie gminy i ludność miejscowości, w której znajdowały się klasztory pasjonistów, bojąc się, że ich utracą, stały na straży ich interesów. Paweł kilkakrotnie usiłował ich nakłonić, by tego poniechali, na wszystkie strony pisał listy, w których oświadczał, że pragnie fundacji nie wyprocesowanych, lecz powstałych wśród spokoju i zgody. Dwaj starzy przyjaciele również pospieszyli z pomocą – nadeszły pocieszające listy od monsiniora Crescenzi, obecnie arcybiskupa Ferrary i od kardynała Rezzonico, który został biskupem Padwy.

Kardynał Gentili, który baczny okiem śledził rozwój sprawy Pawła, w końcu przeważył szalę, oświadczając papieżowi otwarcie: „Ojcze święty, kongregacje zostały wprowadzone w błąd przez przeciwników pasjonistów”. Benedykt XIV postanowił wówczas rozstrzygnąć wreszcie spór raz na zawsze. Wyznaczył jeszcze jedną oficjalną komisję kardynałów, która miała ostatecznie przebadać wszystkie szczegóły dotyczące rzekomych praw, jakoby stale pogwałcanych, gdy powstawał projekt nowej fundacji pasjonistów, a następnie wydać nieodwoalny wyrok, nie podlegający już żadnym apelacjom. Ten ostatni trybunał, po drobiazgowym wniknięciu w istotę sprawy, wydał 7 kwietnia 1750 r. jednomyślne orzeczenie zgodne ze stanowiskiem biskupów i gmin, tak uporczywie i długotrwale broniących własnych żądań i praw pasjonistów. Nie tylko zatwierdzone zostały prawa pasjonistów do pozostania w domach, które już posiadali, ale otworła się przed nimi droga do założenia trzech nowych fundacji, z którymi dotąd się wstrzymy-

wano w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie. Gdy ludność Ceccano dowiedziała się o tym ostatecznym zwycięstwie, zebrała się samorzutnie w największym kościele, gdzie wraz z duchowieństwem odśpiewała dziękczynne *Te Deum*.

Pierwszą z tych nowych fundacji była samotnia w San Sosio w Falvaterra w diecezji Veroli. O. Tomasz i kilku innych misjonarzy z Ceccano kilkakrotnie już z wielkim powodzeniem głosili misje w tych okolicach. Toteż tamtejsi ludzie zapragnęli, aby pasjoniści osiedlili się wśród nich na stałe.

Zbudowano klasztor obok istniejącego tam kościoła i już w wielkim poście 1751 r. mógł Paweł dokonać otwarcia nowego domu, w którym umieścił dwunastu zakonników. Samotnia pod wezwaniem Siedmiu Boleści Matki Bożej w Terracina zawdzięczała swe powstanie biskupowi, który własnym sumptem wznosił nowy klasztor i czuwał nad jego budową. Rzecz dziwna, Paweł wśród swej pierwszej wędrówki do Gaety, przed dwudziestu dziewięciu laty, spojrzawszy na wzgórze wznoszące się nad Terracina poczuł nagle wewnętrzną pewność, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy zostanie na tym właśnie miejscu zbudowana samotnia jego zamierzonego zgromadzenia. To prorocze przeczucie spełniło się 6 lutego 1752 r., gdy Paweł wprowadził do nowego domu jedenastu członków zgromadzenia. Sam zaś, korzystając ze sposobności, wygłosił w Terracinie pierwsze pasjonistyczne misje. W końcu kardynał Gentili, biskup Palestriny, którego przyjaźń była dla Pawła taką niezawodną ostoją w dniach próby, zachęcił go do przyjęcia starego sanktuarium Matki Bożej z Pugliano w Paliano. 23 listopada 1755 r. pasjoniści otworzyli swój ósmy klasztor, w którym osiadło jedenastu członków zgromadzenia.

To szybkie rozprzestrzenienie się sprzyjało okrzepnięciu Zgromadzenia św. Krzyża i Męki Pańskiej, ale zarazem postawiło Pawła w obliczu nowej trudności. Musiał bowiem obecnie postarać się o zezwolenie biskupa na wyświęcenie swych nowicjuszy. Jedną z reform ustanowionych przez Sobór Trydencki dążyła bowiem do ograniczenia nadmiernej liczebności duchowieństwa

i powstrzymywania biskupów od wyświęcania księży, jeśli nie byli koniecznie potrzebni w służbie Kościoła. W takich warunkach nie mógł Paweł spodziewać się większej swobody; niemniej, ściśle przestrzegane przez Rzym ograniczenia, nie dopuszczające do powiększenia się jego misjonarzy, ogromnie krępowały ich działalność.

W 1744 r. otrzymał Paweł pozwolenie na wyświęcenie dziecięciu kleryków, w 1746 na taką samą liczbę, a dopiero w 1751 na podniesienie jej do liczby dwunastu. Teraz, kiedy był w posiadaniu ośmiu samotni, z których każdą należało obsadzić, nie było rzeczą łatwą podejmować się nowych fundacji, mając pod ręką tak szczupłą garstkę kapłanów do rozdzielenia między poszczególne domy. Ponadto potrzebne były dla wyświęcenia jakiegokolwiek kandydata listy zezwalające od ordynariusza diecezji, z której pochodził⁴. W wypadkach, gdy biskup był życzliwie usposobiony dla Pawła, sprawa nie przedstawiała większych trudności. W tych wypadkach natomiast, gdy dany biskup nic jeszcze nie wiedział o nowym zgromadzeniu, lub co gorsza, był niechętnie do niego nastawiony, nadesłanie listów ulegało przeważnie długiej zwłoce lub nie następowało w ogóle. Nasuwała się więc obawa, że jeśli nie uda się w jakiś sposób ułatwić tej sytuacji, zgromadzenie pasjonistów nigdy nie nabierze właściwego rozmachu i siły, a może nawet w ogóle zniknie z braku kandydatów.

W twardej szkole cierpienia nabył już Paweł gorzkiej mądrości płynącej z doświadczenia. Zdawał sobie sprawę, że jego dzieło, jakkolwiek już teraz kwitnące, dalekie jest jeszcze od osiągnięcia pełni rozkwitu. Drogę do dalszego rozwoju zagrażały mu te dwie zapory: bulla papieska ograniczająca liczbę nowych fundacji w pobliżu zakonów żebrzących oraz brak

⁴ „Listy zezwalające” są zaświadczeniem wystawianym przez miarodajne władze kościelne, stwierdzające, że kandydat do święceń skierowany do biskupa, który ma go wyświęcić, odpowiada wszystkim kanonicznym wymaganiom.

uprawnień do wyświęcania nowych kandydatów. Zdaniem Pawła obie te trudności stanowiły jak gdyby dwa grobowe kamienie przygniatające jego dzieło. Aby mogło ono zmartwychwstać i żyć nowym życiem, należało wynaleźć jakieś sposoby usunięcia tych przeszkód. Po długotrwałych, pełnych troski rozmyślaniach, doszedł w końcu do wniosku, że istnieje jeden tylko sposób. Czy nie dałoby się uzyskać dla jego zgromadzenia prawa składania uroczystych ślubów? Wówczas wolno mu będzie zyskać również wszystkie przywileje, przysługujące starym zakonom monastycznym, mającym za sobą całe stulecia historii. Jednocześnie uroczyste śluby mogłyby prawdopodobnie przyciągnąć do zgromadzenia gorliwszych kandydatów, co zapewniłoby mu rozwój nie tylko ilościowy, ale i jakościowy. Paweł już raz prosił o udzielenie mu tego przywileju, lecz jego petycja została odrzucona jako przedwczesna. I oto teraz znów postanowił poświęcić tej sprawie całą swą uwagę.

Jednym zaś ze sposobów otrzymania pozwolenia na uroczyste śluby było podjęcie się misji zagranicznych. W ten sposób bowiem zgromadzenie zakonne wykazuje swą siłę i żywotność, swą zdolność oddawania Kościołowi wielkich usług. Paweł, pisząc przed laty swą regułę, przewidział możliwość takiej sytuacji:

„Gdyby najmiłosierniejszy i nieskończenie dobry Bóg miał pobłogosławić nasze zgromadzenie braćmi posiadającymi taką wiedzę, aby mogli być uznani za zdatnych i uprawnionych do odpierania heretyckich błędów i doprowadzenia niewierzących do wiary Chrystusowej – to skoro tylko zostaną wezwani do pracy nad ich zbawieniem, czy to przez Ojca św., czy też Świętą Kongregację Rozkrzewiania Wiary, udadzą się gdziekolwiek zostaną skierowani”⁵.

Święty przystąpił więc do urzeczywistnienia tego programu i ze zwykłą sobie energią zabrał się do wyszukania jakiejś misji zagranicznej. W 1758 r. zakończono już niemal rokowania

⁵ *Reguła*, rozdz. XVI, par. 125.

w celu wysłania dwóch pasjonistów na Kaukaz dla rozpoczęcia tam pierwszej misji zgromadzenia. Zamiar ten jednak nie doszedł do skutku; na miejsce Kaukazu wysunięto możliwość ich wyjazdu do Mołdawii i na Wołoszczyznę. Ale i tego zamiaru zaniechano niebawem, w końcu wyznaczono trzech ojców, którzy mieli udać się do Mezopotamii, lecz nowe nieprzewidziane trudności unicestwiły również tym razem ambitne zamierzenia Pawła⁶.

W maju 1758 r., kiedy to wciąż jeszcze roztrząsano sprawę misji, zmarł Benedykt XIV. Upłynęło wiele czasu do wyboru jego następcy, czasu jak zawsze w podobnych wypadkach wypełnionego we wszystkich zgromadzeniach zakonnych oczekiwaniem i przypuszczeniami dotyczącymi nowego papieża. W czasie jednej z rozmów na ten temat w klasztorze pasjonistów Paweł niespodziewanie wtrącił uwagę: „Co byście powiedzieli na to, gdyby nowym papieżem został kardynał Rezzonico?”. Na co wszyscy zakrzyknęli twierdząc, iż taki wybór jest zupełnie niemożliwy, gdyż kardynał Rezzonico jest Wenecjaninem, a kardynałowie rzymscy nigdy nie zgodzą się na wybór kardynała z Wenecji. Paweł nic już nie odpowiedział i rozmowa ucichła, lecz miano ze zdumieniem przypomnieć sobie jego słowa, gdy nadeszła wiadomość, że 6 lipca kardynał Rezzonico został obrany papieżem i przybrał imię Klemensa XIII.

W dwa dni później Paweł w towarzystwie nieodstępnie wiernego Jana Chrzyciciela wyruszył do Rzymu pokłonić się nowemu papieżowi, którego niezawodna przyjaźń osładzała mu długie lata goryczy. A w czasie tej pierwszej audiencji nie zwlekając przedłożył dwie sprawy, które leżały mu najbardziej na sercu; uroczyste

⁶ Misje w północnej Bułgarii zostały powierzone pasjonistom w 1781 r., czyli sześć lat po śmierci Świętego. W późniejszych czasach zostały zgromadzeniu powierzone kolejno misje: w Peru, Chinach, Kongo Belgijskim, Tanganice, Indonezji, Szwecji, Beczuanie (Afryka), Japonii, Jamajce, Nowej Gwinei, Peru (drugi okręg), Boliwii, Płn. Karolinie i Georgii (USA), Alabamie (USA), Filipinach i Brazylii.

śluby dla jego zgromadzenia i możliwość założenia nowego klasztoru w Rzymie. Papież przyjął ich niezwykle serdecznie, obiecał rozpatrzyć obie prośby, a na pożegnanie udzielił im apostolskiego błogosławieństwa. Paweł poczuł, że oto teraz, gdy ma takiego przyjaciela na Stolicy Piotrowej, wolno mu już spojrzeć w przyszłość z większą ufnością. I ożywiony tą nadzieją wycofał się do swej samotni, by tam modlić się i czekać, aż Bóg raczy objawić swą wolę.

VI DROGA SPRAWIEDLIWOŚCI 1758–1769

Jednak i tym razem nadzieje Pawła skazane były na rozczarowanie. Klemens XIII przyjął bowiem za podstawową zasadę administracyjną, aby nie udzielać żadnych zezwoleń *motu proprio*. Wszystkie petycje musiały przechodzić oficjalnymi drogami, które są, jak wiadomo, zawsze długie i zawiłe. A rzymskie urzędy kurialne nie są bynajmniej wolne od usterek, znamionujących każdy biurokratyczny system. Paweł stracił niemal dwa lata na przygotowywaniu, w chwilach wolnych od pracy misyjnej, potrzebnych dokumentów, które następnie przekazywał do Rzymu, gdzie odwołany z Ferrary Crescenzi był jednym z kardynałów kurialnych. W lutym 1760 r. Klemens XIII wyznaczył komisję złożoną z pięciu kardynałów, mającą rozpatrzyć sprawę uroczystych ślubów, lecz Paweł był z góry przygotowany na to, że jego prośba zostanie odrzucona. Roztrząsano sprawę przez całych dziesięć miesięcy. W dniu ostatecznego posiedzenia komisji, 23 listopada, kiedy to już spodziewano się rozstrzygającej decyzji, Paweł oświadczył swemu bratu Janowi: „Nic nie zostanie zrobione. Zobaczysz”. Miał zupełną słuszość. Kardynałowie oświadczyli, że zważywszy surowość i ścisłość reguły, sprawa ślubów uroczystych może być przychylnie załatwiona tylko w wypadku, gdyby „reguła została nieco złagodzona i w niektórych punktach zmie-

niona”. Przyczyną tego zastrzeżenia było to, że ludzi, którzy złożyli uroczyste śluby, uważano – przynajmniej w państwie papieskim – za prawie zmarłych. Nie mogli nigdy opuścić zakonu, w którym złożyli uroczyste śluby, a nawet w wypadku eksklaustracji podlegali specjalnym i bardzo surowym przepisom¹.

Paweł jednak nie był skłonny godzić się na takie warunki. Raczej wyrzeknie się ślubów uroczystych, aniżeli wprowadzi do swej reguły dalsze złagodzenia, otwierające drogę do możliwego rozluźnienia i osłabienia ducha w zgromadzeniu. Zgromadzenie Męki Pańskiej zachowało tedy swe zwykłe wieczyste śluby i jakkolwiek Paweł początkowo dotkliwie odczuł ten zawód, to z biegiem czasu doszedł do wniosku, iż decyzja kardynałów była roztropna i słuszna. W miarę jak płynęły lata, „zdawał sobie coraz lepiej sprawę, że ta odmowa była istną łaską Opatrzności i często dziękował Bogu za nią. Przyznawał, że jest właściwie dobrą rzeczą zostawiać furtkę otwartą tak, aby nieodpowiedni kandydaci mogli opuszczać zgromadzenie, a pozostawiali w nim tylko gorliwi zakonnicy, że jest dobrą rzeczą odrzucić kłakol, zachowując wyłącznie dobre ziarno. Toteż już nigdy więcej nie ponowił prośby o uroczyste śluby, nawet wtedy, gdy późniejsze okoliczności stały się już tak sprzyjające, iż mógłby je otrzymać bez trudu”².

Ta pozorna porażka nie zniechęciła go jednak do ponowienia wysiłków w celu usunięcia drugiej przeszkody dotyczącej wyświęcania kandydatów. Zwrócił się do Klemensa XIII z petycją o udzielenie mu prawa wyświęcania ich „z tytułu ubóstwa” na podstawie listów zezwalających od generalnego przełożonego, lub prowincjałów, zamiast od ordynariuszy diecezji. Ojciec św. byłby mu chętnie udzielił tego przywileju, gdyby nie to, iż samo jego

¹ Eksklaustracja jest dyspensą zezwalającą zakonnikowi, który złożył profesję, na czasowe zamieszkanie poza klasztorem, mimo iż pozostaje nadal związany przez swe zakonne śluby i inne kanoniczne obowiązki swego stanu. Jeśli jest to dyspensa dożywotnia zwalniająca go od ślubów, mówi się, iż dany zakonnik został sekularyzowany.

² Cajetan CP, *S. Paul de la Croix et l'Institut des Passionistes*, s. 43.

przyznanie sprzeciwiało się powziętemu przez papieża postanowieniu nie ingerowania w ustalony tok załatwiania spraw kościelnych. Wskutek tego ten papież, od którego Paweł spodziewał się najwięcej, w rzeczywistości najmniej ze wszystkich dla niego uczynił. Toteż w sercu Świętego wzbierała coraz większa obawa, aby go śmierć nie zaskoczyła, zanim jego dzieło nie okrzepnie. Jednak owo „non possumus” Klemensa XIII nie oznaczało bynajmniej, aby jego przyjaźń dla Pawła ostygła. W dalszym ciągu interesował się ogromnie rozwojem zgromadzenia, co wyraził w odręcznym liście do Pawła, w którym zapewniał go raz jeszcze o wysokim uznaniu, jakim go zawsze darzy, i o swej życzliwości dla Zgromadzenia Męki Pańskiej.

Nie brakło jednak Pawłowi i pociech, osładzających jego podwójne rozczarowanie. W 1761 r. spełniło się znów jedno z jego marzeń, mianowicie powstanie drugiej samotni na Monte Argentario. Miejsce zostało nabyte od króla Neapolu jeszcze osiem lat wcześniej, lecz brak funduszy i przeciąganie się formalności prawnych uniemożliwiły jak dotąd budowę klasztoru, przeznaczonego na nowicjat dla nowo ustanowionej prowincji Ofiarowania. Samotnia św. Józefa, położona o milę drogi wyżej niż poprzednia, osadzona na szczycie, skąd rozciągał się szeroki widok na spokojną błękitną toń Morza Śródziemnego, była wprost idealnym miejscem dla szkolenia nowicjuszy w zasadniczym duchu zgromadzenia: modlitwie, ubóstwie i samotności.

Paweł, obecnie już siedemdziesięcioletni, na przestrzeni trzydziestu z górą lat nieustannie głosił misje. Ileż to razy podrywał się z łoża boleści, by pędzić na swą misyjną platformę. Gdy przybył na otwarcie misji w Farnese, wyglądał bardziej umarły niż żywy, toteż proboszcz ostrzegł go: „Ojcie Pawle, jeśli Ojciec rozpocznie te misje, to przecież nigdy nie zakończy. Ojciec nosi śmierć wypisaną na twarzy”. Nie tylko jednak nie spełniła się ponura przepowiednia, ale głos kaznodziei rozbrzmiewał donośniej niż zwykle i ku zdumieniu wszystkich udało się mu prowadzić misje do końca. Sama myśl bowiem, że dusze oczekiwały

słowa zbawienia, kazała mu zapominać o własnej słabości. Nawet wówczas, gdy musiano go zanosić do kościoła i wносить na kazalnicę, potrafił stać i mówić z tą samą co zawsze płomienną żarliwością i siłą. Po takich wyczynach jednak odnoszono go do domu w stanie ostatecznego wyczerpania. Ale teraz jego niezłomny duch nie mógł go już dłużej unosić, gdyż podeszły wiek wzmacniał jego dolegliwości, reumatyzm uczynił z niego kalekę, czemu się trudno dziwić po tylu latach bosych wędrówek poprzez zimowe śniegi i letnie ulewy.

Nielatwo mu przyszło wyrzec się misjonarskiej pracy. Dopiero po wielu nieudanych wysiłkach zdał sobie nareszcie sprawę, że czas działania minął bezpowrotnie. Świadomość ta nappełniła go wielkim smutkiem. W jego ówczesnych listach odzwierciedla się żywo zaciekle walcą pomiędzy duchem, wciąż jeszcze ochoczym, a ciałem już niezdolnym odpowiedzieć na jego władcze wołanie. W marcu 1758 r. pisał: „Całkowicie poniechałem prowadzenia misji, bo już po prostu nie jestem w stanie”. Lecz już cztery miesiące później oznajmiał mężnie: „Znów rozpocząłem misje w całej diecezji Montefiascone, nie wyłączając miasta Corneto. Rozpocznę znów następnego listopada”. To samo powtórzyło się w 1761 r., kiedy to pisał: „Postanowiłem sobie obecnie, że już nigdy więcej nie wyruszę na misje”. Jednak ledwie rok później uczynił ponowną próbę: „Ponieważ moje dolegliwości nieco ustąpiły, wyjeżdżam za parę dni na misje”³.

Ten jego mocarny duch podrywał go aż do końca, skoro jeszcze w roku 1763 w czasie misji w Caprarola załamał się i w tymże roku prowadził rekolekcje, ostatnie już, w klasztorze karmelitanek w Vetralla. Odtąd już – z jednym tylko wyjątkiem – skończyły się misje św. Pawła od Krzyża.

Pewnego słonecznego lipcowego poranka 1765 r., w czasie gdy Paweł odprawiał Mszę św. w Vetralla, odezwał się w nim znów ów wewnętrzny głos, który już tylokrotnie w życiu doń przemawiał:

³ *Listy*, t. I, 8. s. 690; t. III, s. 528; t. I, B. 725 i s. 738.

„Przygotuj się na wielkie zmartwienie” – ostrzegł. Znaczenie tych słów stało się jasne, gdy niebawem rozchorował się umiłowany brat Jan Chrzyciel. Paweł wiedział, że się już z tej choroby nie podźwignie; a wszak miłość łącząca tych dwóch braci, tak różnych charakterem i usposobieniem, przetrwała tyle lat. Ramię przy ramieniu wędrowali pod palącym słońcem po długich, kamiennych drogach; ramię przy ramieniu pracowali i modlili się, żywiąc nadzieję wbrew nadziei, że ich wyrzeczenia się nie będą daremne; ramię przy ramieniu trwali pod ciosami sprzeciwów i gorzkich zawodów; również ramię przy ramieniu patrzyli na narodziny i rozrost swego dzieła. Długa i niełatwa była droga wiodąca od małej pustelni w Castellazzo do powstania zgromadzenia, posiadającego dziesięć kwitnących klasztorów⁴. A na każdym zakręcie tej drogi Jan Chrzyciel stał u boku brata, pomagając mu dźwigać brzemię. Już od dawna szli razem, że Paweł nie mógł wprost wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała dalsza wędrówka bez Jana – wiedział tylko z pewnością, że będzie straszliwie samotny. Lecz skoro było wolą Bożą, aby Jan go opuścił i pozostawił samego, mógł odpowiedzieć tylko: „Bądź wola Twoja”.

Paweł nie tylko kochał brata, lecz czcił go jak świętego, „jak najświętszego zakonnika, jakiego mamy w naszym zgromadzeniu”. Składając mu ten najwyższy hołd, oświadczał zarazem, iż „poza Bogiem zawdzięcza w pierwszym rzędzie ojcu Janowi Chrzycielowi, iż zamierzone zgromadzenie zostało szczęśliwie ustanowione”. Jakkolwiek obaj bracia byli ludźmi tego samego pokroju duchowego, zachowali jednak do końca odrębność swych charakterów, Jan Chrzyciel bowiem nigdy nie wyzbył się swej wrodzonej skłonności do surowości i rygoryzmu. Choć nie można by go nazwać szorstkim i niewrażliwym, był jednak twardy i nieugięty w swej postawie wobec wszystkiego, co bodaj o włos odchyłało się od li-

⁴ Inna nowa fundacja została założona 19 marca 1758 r. na Monte Cavo, w górach nad Castel Gandolfo. Była to samotnia pod wezwaniem Przenajświętszej Trójcy. Święty jednak nie był obecny na jej otwarciu. Samotnia ta została z czasem opuszczona przez zgromadzenie.

nii, którą uważał za jedynie właściwą. Nie zawahał się nigdy strofować Pawła, a Paweł kochał go za to, gdyż wiedział, że jego wypowiedzi są podyktowane głęboką, nadprzyrodzoną miłością.

Choroba Jana Chrzyciela początkowo lekka, przybrała niebawem taki obrót, iż nie podobna było ludzi się co do jej wyniku. Paweł pragnął czuwać przy łożu brata, lecz sam cierpiał tak silnie na artretyzm, że nie był w stanie się podźwignąć. W końcu jednak z wielkim trudem i bólem udało mu się przykuśtykać do celi brata, gdy już wiadomym się stało, że koniec jego się zbliża. Jan, zapytany jak się czuje, odpowiedział – jak przystało człowiekowi o jego usposobieniu, słowami Machabeusza: „Jeśli nadszedł nasz czas, umierajmy mężnie”. Odtąd Paweł dzień po dniu przesiadwał przy nim, pocieszając go i dodając otuchy, a Jan do końca nie poniechał swej roli mentora i doradcy. „Nie przyjmuj pochopnie nowych kandydatów – ostrzegał – a jeszcze bardziej zwlekaj z wyświęcaniem ich. Co prawda nie będzie was wtedy wielu, ale będziecie narodem wybranym, zdolnym do szerzenia chwały Bożej”. W ustach Jana, który nigdy nie lubił szafować słowami, była to zaiste długa przemowa, dojrzały owoc doświadczenia. Gdy Jan otrzymał ostatnią absolicję, Paweł zapytał go troskliwie, czy mu cokolwiek dolega. Umierający odpowiedział w dwu słowach: *Sto quietissimo* – jestem bardzo spokojny. 30 sierpnia 1765 r. Jan Chrzyciel od św. Michała zmarł tak jak żył, odważnie i bez skargi, podczas gdy zgromadzenie pod wodzą św. Pawła śpiewało *Salve Regina*, witając jego przejście do wieczystej szczęśliwości.

Wówczas Paweł, zbierając wszystkie siły, by stawić czoła przyszłości, przystąpił nie zwlekając do ostatecznego wykończenia swego dzieła. Nurtowała go myśl, że piasek nieubłaganie wysypuje się z klepsydry, że tak już mało czasu pozostało, tak mało, a wciąż jeszcze tyle piętrzy się przed nim roboty.

Następnego roku ziściło się jeszcze jedno z jego marzeń, gdyż nadzieja założenia fundacji w Rzymie spełniła się w 1766 r., kiedy to za zgodą papieża pewien dobroczyńca imieniem Antoni Fratini ofiarował Pawłowi domek z ogrodem między Lateranem a Ko-

loseum. Był to wprawdzie domek o wiele za ciasny, by można w nim było założyć prawdziwy klasztor (mógł bowiem pomieścić zaledwie dwóch ojców i jednego brata); Paweł nazwał go więc hospicjum Świętego Ducha, przeznaczając go na rodzaj miejsca zatrzymania się i noclegu dla tych członków zgromadzenia, którzy z takich czy innych względów musieli udać się lub bywali wzywani do Rzymu. Był jednak przekonany, że jest to tylko małe ziarno gorczyczne, któremu przeznaczono rozrosnąć się w wielkie drzewo. I rzeczywiście dożył nawet spełnienia się tego przeczucia.

Paweł zapragnął dokonać przeglądu wszystkich swych klasztorów w Kampanii rzymskiej. W głębi serca wiedział, że będzie to jego ostatnia wizytacja. Wyruszył z Vetralla, poprzez Monte Cavo do Terraciny, gdzie rozchorował się tak ciężko, że przez cztery miesiące nie mógł myśleć o dalszej podróży. Jednakże za zbliżaniem się wiosny udał się do San Sosio, by tam spędzić święta wielkanocne, a stamtąd przez Ceccano do Paliano. Ku jego przerażeniu podróż ta zamieniła się w triumfalną procesję. Wiadomość o jego przybyciu wyprzedzała bowiem jego zjawienie się, toteż wszyscy oczekiwali go niecierpliwie. Z ust do ust podawano sobie wezwanie: „Chodźcie zobaczyć świętego”. Ponieważ nie mógł już chodzić, wieziono go otwartym powozem, a na jego drodze ludzie klękali w kurzu, oczekując jego błogosławieństwa.

Gdy pojazd już nie mógł posuwać się dalej, wszyscy cisnęli się wokół niego tak, iż w Ceprano i Frosinone trzeba było wezwać wojsko, by powstrzymać napierające tłumy. W Anagni Paweł szedł główną ulicą miasta, prowadzony przez dwóch biskupów. „Nigdy jeszcze w życiu nie czułem się tak zmieszany i skrępowany” – wyznał później z całą szczerością. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nie potrafił po prostu zrozumieć, co to wszystko znaczy. Nie dlatego, że był niewrażliwym na składane mu oznaki czci albo odczuwał choćby najmniejszą pokusę próżnej chwały lub pychy. Naprawdę i rzeczywiście był przekonany, że ludzie ulegają jakiemuś niepojętemu złudzeniu i w swej prostocie oskarżał o to siebie, starając się zarazem na próżno wyprowadzić ich z błędu.

Matki prosiły go o błogosławienie ich dzieci, składano u jego stóp obłożnie chorych i kaleki prosząc, aby zechciał ich uzdrowić. Fakt zaś, że wielu z nich istotnie wyzdrowiało, pogłębiał tylko zdumienie Pawła. W końcu nie mogąc już tego dłużej wytrzymać, uciekł do swej ukochanej samotni. W maju 1767 r. przybył do hospicjum w Rzymie, a stamtąd powrócił do Vetralla.

Nic dziwnego, że po wszystkich przygodach tej podróży rozchorował się ciężko. Do zwykłych jego dolegliwości dołączyła się jeszcze wysoka gorączka. Przez czterdzieści dni cierpiał tak straszliwie, iż zdawało się, że przeżywa agonię i udzielono mu aż trzykrotnie ostatnich sakramentów świętych. Do cielesnych męczarni dołączyły się udręki duszy. Długotrwała próba duchowa nękająca go od lat osiągnęła wówczas swój szczyt tym straszliwszy, iż towarzyszyły jej nieustanne napaści szatańskie.

Wprawdzie takie zewnętrzne poczynania ducha ciemności nie były niczym nowym w życiu Pawła. Pewien opętany zapytany przez egzorcystę o powody swej szczególnej wrogości wobec św. Pawła od Krzyża, odpowiedział gniewnie: „Głosząc odważnie zbawczą moc Krzyża, Paweł rozpętał przeciwko sobie mściwą wściekłość piekła”. Ilekroć zmorzony chorobą i znużeniem usiłował zasnąć, diabły wszczynały potworny zamęt w jego celi, trzaskając drzwiami, przetrząsając szuflady, tłukąc sprzętami o podłogę i przeraźliwym głosem wrzeszcząc mu prosto w ucho. Kiedy spał w nocy, bywał nagle wyrzucany z łóżka i słyszał rozlegający się w pokoju głos: „Przyszedłeś, aby mnie dręczyć, pozbawiłeś mnie tylu dusz”.

Nie były to wcale jakieś subiektywne wrażenia. Okropne hałasy, dochodzące po nocach często z pokoju Pawła, szerzyły postrach wśród innych mieszkańców domów, w których się zatrzymywał w czasie misji. Pewien misjonarz, ojciec Mikołaj, który dzielił z nim pokój, ujrzał pewnego razu jakąś olbrzymią postać. Trzęsąc się ze strachu zawołał do Pawła: „Czy widzisz go?”. – Na to Święty odpowiedział spokojnie: „Nie bój się, nie do ciebie on przyszedł”. Następnego ranka nogi Świętego były aż czarne od

sińców i uderzeń, otrzymanych w czasie napaści nocnego gościa. Kiedyś w drodze powrotnej do Monte Argentario, po udanych misjach, zastąpiły mu drogę demony w widzialnej postaci, które zbiły go niemiłosiernie. Paweł bronił się zazwyczaj wkładając sobie na szyję różaniec, trzymając w ręku krucyfiks i nakazując diabłom w imię Jezusa i Maryi, aby od niego odstąpiły. Złe duchy zmuszone do posłuszeństwa, powracały jednak wciąż na nowo do ataku, nie tylko za pomocą fizycznych napaści, ale drogą bardziej podstępnych pokus do melancholii, smutku i rozpacz.

Zaledwie Paweł zaczął powracać do sił po długotrwałej chorobie, gdy w lutym 1769 r. doszła go wiadomość o śmierci papieża. Przedwczesna śmierć Klemensa XIII została spowodowana wzrastającymi atakami na Kościół ze strony katolickich monarchów Europy, którzy stali się rzecznikami małostkowych i podłych knowań. Król portugalski Józef I, za namową i podjudzeniem osławionego markiza de Pombal, przemocą skasował w 1759 r. zakon jezuitów na swych ziemiach. We Francji Ludwik XV pod wpływem pani de Pompadour poszedł w jego ślady w 1764 r. Hiszpania wygnała jezuitów w 1767 r., a za jej przykładem uczynił to niebawem król Neapolu. Następnie tak zwane katolickie mocarstwa, pod wodzą Karola III hiszpańskiego, poczęły wywierać nacisk na Klemensa XIII, żądając zupełnej kasaty Towarzystwa Jezusowego i grożąc mu detronizacją w razie odmowy. W końcu: „W styczniu 1769 r. trzy mocarstwa – Francja, Hiszpania i Neapol wniosły wspólne oficjalne żądanie skasowania Towarzystwa. Klemens XIII odmówił stanowczo i nieodwołalnie. Był to ostatni akt jego pontyfikatu. Długotrwałe napięcie jedenastu lat walki z dekadencją katolicyzmem Burbonów złamało go wreszcie i w czasie, gdy te trzy mocarstwa planowały blokadę Rzymu i wzniecenie powstania, mającego na celu wygnanie papieża, papież zmarł 2 lutego 1769 r.”⁵.

⁵ Philip Hughes, *A Popular History of the Church*, rozdz. XIII, s. 223–224.

W owym czasie pozyskał sobie Paweł w kolegium kardynalskim nowego przyjaciela, kardynała, franciszkanina, Lorenzo Ganganelli. Już od czasu ich pierwszego spotkania w 1766 r. zawiązała się między nimi przyjaźń serdeczna i głęboka, zabarwiona ze strony Pawła szacunkiem dla księcia Kościoła, a ze strony kardynała uwielbieniem dla człowieka, którego uważał za świętego. I tym razem również Paweł oświadczył: „Zostanie on kiedyś papieżem”, usłyszał bowiem wyraźnie jak wewnętrzny głos odezwał się w nim, mówiąc: „Spójrz na Najwyższego Pasterza, który przyłoży ostateczną pieczęć do Zgromadzenia Męki Pańskiej”.

Przez całych trzynaście tygodni trwania konklawe ani na chwilę nie zachwiał się w tym przekonaniu. Pierwszym pytaniem, jakie postawił księdzu przybyłemu z Rzymu, było: „Co mówią ludzie w Rzymie o wyborze nowego papieża?” – „Mówią – odpowiedział ksiądz ostrożnie – że będzie to zapewne kardynał Stoppani.”

– O nie, na pewno nie on – odparł Paweł bez wahania.

– A więc kto?

– Ganganelli.

– A skąd Ojciec wie, że to właśnie Ganganelli będzie papieżem? – zdumiał się ksiądz.

– Wiem to, po prostu jestem tego pewien – odpowiedział Paweł z przekonaniem.

Nie dziw zatem, iż nie był zaskoczony, gdy wybór kardynałów został ogłoszony 19 maja 1769 r. Elektem był istotnie kardynał Ganganelli, który przybrał imię Klemensa XIV.

Paweł nie zwlekając ani chwili, znów zebrał resztki sił i ruszył w drogę do Rzymu, gdzie przybył przed końcem miesiąca. Nowy papież oczekiwał go istotnie i chcąc mu oszczędzić drogi z hospicjum na audiencję, przysłał po niego karocę. Jadąc przez tak dobrze znane ulice, Paweł nie mógł opędzić się od wspomnień: „Ileż to razy – pomyślał – przemierzałem je boso. Ile to wycierpiałem w tym mieście dla sprawy zgromadzenia...”.

Lata cierpień jednak dobiegały już kresu. Odtąd otwierała się przed nim droga sprawiedliwości, gdyż Klemens XIV nie tylko był

gotów, ale sam pragnął spełnić obietnicę daną Pawłowi przed sześciu miesiącami: „Jeślibym kiedykolwiek miał znaleźć się na takim stanowisku, gdzie mógłbym coś uczynić dla Ojca, którego kocham, czy dla nowo powstałego zgromadzenia, które tak wysoko cenię, to będę uważał za swój obowiązek i zaszczyt złożyć Ojcu dowód mego głębokiego oddania i najserdeczniejszych uczuć”.

18 czerwca Paweł złożył Jego Świątobliwości memoriał z prośbą o ostateczne zatwierdzenie zgromadzenia jako zakonu o prostych, wieczystych ślubach oraz o przywileje przysługujące innym uznanym zakonom. Ksiądz, który towarzyszył Pawłowi, nawiązując do pierwszego pozwolenia zbierania towarzyszy, udzielonego przez papieża – dominikanina, Benedykta XIII – zauważył, że pierwszy zaczątek Zgromadzenia Męki Pańskiej został zatwierdzony przez syna św. Dominika. Na co papież dopowiadając jego nie wyrażoną do końca myśl, oświadczył: „A teraz syn św. Franciszka uwieńczy dzieło”. Dwaj późniejsi kardynałowie, monsiniorowie de Zalada i Garampi, wyznaczeni do ponownego rozpatrzenia reguły, natychmiast przystąpili do dzieła. Ponieważ w toku pracy niektóre szczegóły wydały im się zawile i wymagające wyjaśnień, udali się do hospicjum, by omówić je z Pawłem. Lecz zaraz przy pierwszych słowach Święty przerwał im łagodnie, lecz stanowczo: „Czy Ekscelencje nie zostały wyznaczone przez Namiestnika Chrystusowego do zrewidowania i poprawienia? Toteż Pan Bóg na pewno nie poskąpi im łaski oświecenia. Cokolwiek więc Ekscelencje postanowią – będę uważał za rozstrzygnięte przez samego Boga”.

W drodze powrotnej z tych bezowocnych odwiedzin monsinior de Zalada zwrócił się do swego konfratra: „Przyjacielu – rzekł – sądzę, iż głęboka pokora tego sługi Bożego musi iść w parze z wielką świętością”. Drobne zmiany, które zostały w końcu wprowadzone, łagodziły nieco ostrość postu i przedłużały nocny odpoczynek do ilości godzin uznanej za podstawowe wymaganie rozsądku. Jednak nawet te nieznaczne zmiany nie zostały ostatecznie

zatwierdzone, dopóki wysłany przez Klemensa XIV monsinior de Zalada nie naradził się ponownie z Pawłem. „Musimy dowiedzieć się najpierw co ojciec Paweł na to powie – oświadczył papież – bo nie chcemy niczego uczynić bez zasięgnięcia jego zdania i uzyskania jego zgody”.

Podobnie jak niegdyś, Paweł rozpoznał w życzeniu Najwyższego Pasterza głos woli Bożej, któremu się natychmiast podporządkował, tak i teraz zdał sobie sprawę, że papież pragnie jedynie zapewnić jego dziełu stałość i trwanie po wszystkie czasy.

W święto Wniebowzięcia wysłał papież swego spowiednika do św. Pawła od Krzyża, by mu oznajmić, że po drobiazgowym przebadaniu, które zajęło im całych czterdzieści dni, wyznaczeni rzeczoznawcy zaaprobowali regułę, a przygotowania do potwierdzającego brewe i zatwierdzającej bulli są już w toku. Wtedy to Paweł udał się natychmiast do bazyliki św. Maryi Większej, na to samo miejsce, gdzie ongiś, blisko pięćdziesiąt lat temu, złożył swe pierwsze ślubowanie. Łzy napłynęły mu do oczu, lecz były to tym razem łzy radości i dziękczynienia na myśl o tym, że oto blisko pół stulecia trudów, trwogi i bólu zostało stokrotnie wynagrodzone. Ale oto nagle opadł go niepokój i kiedy udał się do Klemensa XIV, by mu podziękować za obiecanie zatwierdzenie, wyznał mu nurtującą go myśl. Nurtowało go bowiem istotnie wspomnienie przykrego zaskoczenia, jakiego doznał niegdyś z powodu dużych opłat, którymi zostało obciążone wydanie pierwszego brewe⁶.

Nie tracąc czasu na wstępy, Paweł od razu przystąpił do rzeczy: „Ojcie święty – zapytał – jak będzie przedstawiała się sprawa kosztów związanych z otrzymaniem brewe?”. Wyciągnął pustą rękę i dmuchnąwszy w otwartą dłoń, dodał: „Bo ja nie mam nawet

⁶ Koszty związane z publikacją brewe wyniosły około 140 skudów. W liście do o. Fulgencjusza (31 marca 1746 r.) Paweł dał wyraz wrażeniu jakie to na nim sprawiło: „Jestem nieco wzburzony sprawą bulli (sic!) i ufam, że zrozumiesz dlaczego. Jest to lichwiarska bulla, ale trudno się temu dziwić...” (*Listy*, t. II, s. 72).

tylę". Na tak szczerą prostotę mógł Klemens XIV odpowiedzieć tylko szerokim uśmiechem: „Nie, nie będzie żadnych kosztów – zapewnił – brewe będzie darem złożonym ubogiemu przez papieża”.

Bulla papieska *Supremi Apostolatus* wydana 15 listopada 1769 r., stanowiła ziszczenie najśmielszych nadziei Pawła. Była „bogata w przywileje” i zapewniała zgromadzeniu pasjonistów wszystkie prawa przysługujące największym w Kościele zakonom. Reguła została w pełni zatwierdzona, instytut zaś nie tylko uzyskał formalną aprobatę, ale i zapewnienie, że zostaje objęty szczególną troską i pieczę Stolicy Apostolskiej. Co najważniejsze jednak, bulla usuwała raz na zawsze dwie wielkie przeszkody, które przez tyle lat nękały Pawła jak zły sen, zezwalała bowiem na zakładanie nowych domów bez oglądania się na „czteromilową klauzulę” oraz na wyświęcanie kandydatów „z tytułu ubóstwa” na podstawie listów zezwalających od wyższych przełożonych zgromadzenia. Przyszłość była teraz zapewniona, żadne ograniczenia nie krępowały już odtąd rozrostu zakonu, ani jego geograficznego rozprzestrzeniania, ani liczebności jego członków.

Paweł poczuł, iż oto nareszcie wolno mu już powiedzieć swoje *nunc dimittis*, skoro w wyznaczonym sobie czasie dokonał dzieła, do którego Bóg go powołał – w jakże odległych już dziś – dniach młodości.

VII ŚWIATŁOŚĆ JAŚNIEJĄCA 1769–1775

Zgodnie z ustalonym zwyczajem Klemens XIV ogłosił wyjątkowy jubileusz w celu uczczenia swego wstąpienia na tron papieski. We wszystkich rzymskich kościołach miały odbyć się misje i Ojciec św. postanowił, że jednym z czołowych kaznodziei musi być św. Paweł od Krzyża. Gdy kardynał Colonna, wikariusz Rzymu przybył w imieniu papieża przedstawić tę prośbę, Paweł odparł zdumiony, że przecież już od sześciu czy siedmiu lat nie udziela misji, że właściwie już wycofał się z czynnego życia. Ponieważ jednak kardynał niezrażony nalegał dalej, Paweł powołał się na stan swego zdrowia, na to, że jest właściwie kaleką, gdyż już zupełnie stracił słuch. Na co kardynał zauważył rzeczowo: „Ale ma Ojciec jeszcze wciąż świetny głos, ojcze Pawle, a głuchota nie ma tu właściwie znaczenia, dopóki ludzie ojca słyszą”.

Paweł widząc, że żadne protesty na nic się nie zdadzą, poprosił, by mu przyniesiono jego rękopisy i natychmiast przystąpił do pracy. Dano mu do wyboru trzy kościoły: modny kościół św. Karola na Corso, św. Andrzeja w arystokratycznej dzielnicy i św. Maryi na ubogim przedmieściu. Paweł oczywiście wybrał ubogie przedmieście, lecz kardynał nie chciał się na to zgodzić. Drogą kompromisu wyznaczono mu w końcu bazylikę Santa Maria in Trastevere. Papież bowiem życzył sobie stanowczo, aby pożegnalne wystąpienie

w Wiecznym Mieście jednego z największych misjonarzy owych czasów odbyło się w ramach odpowiedniej oprawy zewnętrznej.

Misje otwarto 12 września, lecz Paweł się nie zjawił. Gwałtowna gorączka powaliła go na łóżce, toteż inny ojciec musiał go zastąpić. Aż w końcu, siedemdziesięciopięcioletni starzec zdobył się na nadludzki wysiłek. Tak chory, że ledwo mógł stanąć na nogach – na kazalnicy opierał się na kijach – tak głuchy, iż nie mógł już słuchać spowiedzi, tak schorowany, że musiano go prowadzić do kościoła – wygłosił Paweł swe ostatnie kazania misyjne. W oczach jego wciąż jeszcze płonął ogień młodości, potężny głos rozlegał się nad głowami zasłuchanych tłumów, przepełniających kościół i cisnących się wkoło na ulicach. Papież codziennie wypytywał troskliwie, jak siły mu dopisują, ale odpowiedzi były tak pocieszające, iż w końcu zawołał: „Nie wtrącajmy się już. Niech pracuje dalej”. We wszystkich kościołach Rzymu dały się odczuć skutki tej misji, zdawało się bowiem wszystkim, że płaszc św. Pawła od Krzyża jak gdyby przysłonił wszystkich innych kaznodziejów. Trafność wyboru papieża potwierdziła się w całej pełni, gdyż ta ostatnia misja św. Pawła była niewątpliwie ukoronowaniem jego apostołskiej działalności.

Święty jednak zdawał sobie sprawę, że dzieło jego życia jest już właściwie zakończone. Na pożegnanie obszedł siedem bazylik rzymskich, po czym zaczął się zbierać w drogę do Vetralla, gdzie pragnął spędzić schyłek życia w samotności i spokoju, zanim ciało jego zostanie złożone na wieczny spoczynek obok grobu jego brata. Gdy wiadomość o jego zamiarach doszła do Klemensa XIV przeciwstawił im się serdecznie, lecz stanowczo: „Ojcze Pawle – zauważył – ja wiem, co ojciec będzie robił w swej samotni San Angelo. Będzie ojciec modlił się za nas i za cały Kościół. Otóż wydaje mi się, że może to ojciec zrobić z równym powodzeniem także i tu, a w Rzymie może Ojciec dokonać wiele więcej dobrego”. Tym razem Paweł nie usiłował się już niczym wymówić. Skoro papież chciał go widzieć w Rzymie – pozostanie w Rzymie. Odtąd nie było już mowy o wycofaniu się do Vetralla. Ta natychmiastowa uległość ogromnie spodobała się Ojcu św., toteż zaczął

przemyśliwać nad sposobami okazania Pawłowi swej wdzięczności. W czasie audiencji z okazji świąt Bożego Narodzenia ujawnił swoje zamiary: „Ojcze Pawle – rzekł – ponieważ ojciec tak bez wahania zgodził się pozostać w Rzymie, jest chyba rzeczą słuszną, abyśmy w zamian coś uczynili dla was. Co by ojciec powiedział na dom i kościół w Rzymie dla waszego zgromadzenia? Chcielibyśmy przez to uczynić zadość sprawiedliwości. Potrzeba nam tylko jeszcze trochę czasu”. Minęły jednak jeszcze trzy lata, zanim papież mógł spełnić swą obietnicę. Trzy lata pełne doniosłych wydarzeń o znaczeniu historycznym.

Postanowienie pozostania w Rzymie nie przeszkodziło Pawłowi troszczyć się i zabiegać po dawnemu o sprawę zgromadzenia. Odwiedził już wszystkie samotnie w Kampanii Rzymskiej. Pomiął jednak dotychczas jeszcze klasztory położone na północ od Rzymu i dopiero w marcu 1770 r. otrzymał od papieża pozwolenie zakończenia swej wizytacji. Zima tego roku była chłodna i dżdżysta, lodowate wichry hulały po nadbrzeżnych równinach. Była to więc podróż szczególnie uciążliwa dla starego człowieka, któremu reumatyzm i ischias tak bardzo utrudniały ruchy, Paweł jednak z nieugiętą stanowczością znosił wszystkie tarapaty podróży. Zatrzymał się najpierw w najnowszej fundacji Matki Bożej Bolesnej w Corneto. Program zamierzonej przez niego pracy w tym klasztorze obejmował rekolekcje zgromadzenia, przeprowadzenie dorocznej wizytacji i prowadzenie nabożeństw wielkotygodniowych. Najłatwiejszą drogą z Corneto na Monte Argentario była droga morska. Paweł zszedł tedy do najbliższego portu, skąd miał odpłynąć przybrzeżnym statkiem. Zaledwie jednak odbili od brzegu, zerwała się gwałtowna nawałnica, która zmusiła ich do szukania schronienia w małej przystani Montalto. Ponieważ stąd nie mógł już Paweł zdobyć żadnego środka lokomocji, niewiele myśląc postanowił pozostałych trzydzieści sześć mil przejechać konno. Ulewne deszcze zmieniły drogi w błotniste strugi, a przenikliwy wiatr smagał po twarzy, podczas gdy poędział mizerną swą szkapinę, aż nareszcie dobrnął do Orbetello

na wpół zamarznięty i doszczętnie wyczerpany. Wiadomość o jego przybyciu rozeszła się szybko i natychmiast zgromadziła się za progiem ciżba rosnąca z każdą godziną. Trudno było odmówić przyjęcia starym przyjaciółom, lecz Paweł zżymał się w duchu na tę zwłokę. Pogoda jak gdyby uwzięła się na niego, gdyż następnego ranka niebo było znów szare i zasnute, a krople deszczu przez cały dzień bębniły donośnie o szyby. Gęsta mgła przesłaniała góry, uniemożliwiając wspinaczkę. Dopiero 21 kwietnia mógł Paweł ruszyć pod górę, jakże dobrze znaną mu drogą.

W miarę jak zeszytniały od bólu, kulejąc, szedł po stromym zboczu, ożywała znów przed oczami starca cała jego przeszłość. „Te góry – zawołał – ileż wspomnień przywodzą mi na pamięć”.

Gdy na jego spotkanie wyszła procesja nowicjuszy, by go odprowadzić do samotni św. Józefa, wspomnienia osaczyły go tak, iż łzy poczęły z wolna spływać po jego policzkach. Trudno nie płakać – rzekł ocierając oczy i uśmiechając się przeprasząco – trudno nie płakać, kiedy pomyślę, że przyszedł na tę górę bez niczego, tylko z kawałkiem chleba i garścią winogron, danych mi z litości w Piti-gliano, a teraz oglądam tu dwa domy pełne żarliwych zakonników, głoszących chwałę Bożą dniem i nocą”.

Tymczasem w Rzymie wciąż pytano, kiedy należy spodziewać się powrotu Pawła. Papież nadesłał na Monte Argentario specjalny list, w którym w niezwykle serdecznych słowach udzielał Pawłowi i wszystkim jego duchowym synom apostolskiego błogosławieństwa. Święty postanowił skrócić swą podróż i nie odwiedzając już pozostałych samotni, powrócić do Rzymu. Nie czuł się już na siłach podolać nowym trudom. Istotnie, przygody dotychczasowej wędrówki wzmogły ogromnie jego dolegliwości tak, iż po powrocie do Rzymu nowy atak reumatyzmu powalił go i unieruchomił na kilka tygodni. Paweł nie mógł jednak nigdy znieść bezczynności. Skorzystał więc z tych przymusowych chwil wolnych, by ostatecznie sfinalizować dzieło, które już od dawna dojrzewało, mianowicie założenie klasztoru klauzurowych zakonnic pasjonistek, których zamierzoną regułę przekazał 1 lipca papieżowi do oceny.

Już trzydzieści z górą lat wcześniej powziął Paweł zamiar założenia takiego instytutu i kamień węgielny pierwszego klasztoru został położony w Corneto jeszcze 29 stycznia 1759 r. Materialne trudności opóźniły wykończenie budynku o ponad dziesięć lat. W dodatku dobroczyńca, który dostarczył potrzebnych funduszków wyobrażał sobie, że wolno mu z tego tytułu narzucić rodzaj reguły, jaka miała w nim być przestrzegana i niemało czasu kosztowało Pawła, zanim zdołał naprostować jego mylne poglądy. Reguła została zaaprobowana przez Klemensa XIV we wrześniu 1770 r. i już w roku następnym jedenaście pierwszych postulantek otrzymało habit Męki Pańskiej¹.

Ku końcowi 1770 r. Paweł tak dalece podupadł na zdrowiu i jego wycieńczony organizm już tak całkowicie przestał reagować na zabiegi lekarskie, iż obawiając się najgorszego, udzielono mu 18 grudnia ostatnich sakramentów świętych. Paweł zapytał swego spowiednika: „Czy naprawdę już ze mną tak źle?”. Ponieważ lekarze nie żywili już żadnych nadziei poprawy, krótka odpowiedź brzmiała: „Tak”. Mogłaby ona wzbudzić popłoch w sercu każdego innego pacjenta, Święty jednak zadumał się tylko i odparł: „Jakiś czas temu Pan Bóg dał mi do zrozumienia, że będę musiał przejść przez bardzo ciężki kryzys, który nie będzie jednak śmiertelny”. Zapytany nieco później jak się czuje, znów ważąc z namysłem słowa, odpowiedział: „Wydaje mi się, że nie umrę jeszcze teraz”. Wszystko jednak zdawało się wskazywać na to, że się myli, bo w styczniu przyszła nowa, ostra recydywa i zanim luty dobiegł końca, lekarze już lada chwila oczekiwali śmierci. Jeden z przełożonych pasjonistów udał się do papieża, by mu oznajmić, że Święty umiera, iż zgasła już ostatnia nadzieja.

Klemens XIV głęboko wstrząśnięty, po chwili zastanowienia przekazał Pawłowi następujące słowa: „Nie chcę, abyś umarł właśnie teraz. Powiedzcie mu, że nakazuję mu pozostać, przy czym

¹ Paweł nie mógł z powodu choroby odwiedzić klasztoru, toteż nigdy nie ujrzał habitu zakonnego pasjonistek.

jest to rozkaz, któremu winien być posłuszny”. Zakonnik pospieszył czym prędzej donieść umierającemu o tych słowach papieskich. Paweł z wysiłkiem podźwignął się na łożu i spojrzał na stojący obok krucyfiks. „O Jezu Ukrzyżowany – wyszeptał – pragnę być posłuszny Twemu Namiestnikowi”. W tej samej chwili poczuł się lepiej, nieubłagana choroba ustąpiła i powrócił do życia z samego progu śmierci. Wprawdzie nie wyzdrowiał całkowicie, gdyż papież nie nakazywał mu powrotu do zdrowia, lecz spełniła się dokładnie treść papieskiego życzenia. Paweł nie umarł, jakkolwiek jeszcze blisko dwa lata miał spędzić w swej celi, nie mogąc się z niej ruszyć.

Ten niezwykle fakt rzuca szczególnie jasne światło na głęboką cześć, jaką Paweł żywił dla osoby Namiestnika Chrystusowego. Klemens XIV, tak ostro skrytykowany przez późniejszych historyków, był bowiem w oczach Pawła przede wszystkim Namiestnikiem Chrystusowym i w lojalnym sercu świętego nie było miejsca na krytykę. Niewątpliwie Ojciec św. traktował go jako cenionego, najbliższego przyjaciela, w stosunku do którego odrzucał wszelkie formalności, udzielając mu posłuchania wtedy, gdy innym odmawiał przyjęcia, zasięgając jego rady w różnych okolicznościach i licznych zagadnieniach, a nawet ku głębokiemu zawstydzeniu Pawła, prosząc go o błogosławieństwo. Paweł jednak nigdy nie starał się wykorzystywać tej serdecznej zażyłości, wielbił natomiast najwyższy autorytet papieża. Podziwiał również świętobliwość jego życia, a wiadomo, że święci mają pod tym względem nie lada wymagania. Po jednej z audiencji zauważył, zwracając się do swych towarzyszy: „Życie papieża będzie dla wielu zakonników powodem zawstydzenia w dniu sądu”. A kiedy indziej oświadczył, z większym jeszcze naciskiem: „Jakże wielka jest pokora papieża”. „Ten papież jest naprawdę święty”.

W ciągu lat spędzonych przez Pawła w czterech ścianach malutkiej celi w hospicjum, historia posuwała się naprzód wielkimi krokami. Atak na Towarzystwo Jezusowe, który przedwcześnie wtrącił do grobu poprzednika Klemensa, rozgorzał od

nowa ze wzmożoną siłą. Cesarzowa austriacka odmówiła jezuitom swej dotychczasowej opieki, zmarł życzliwy im król Sardynii, a stanowczość, z jaką papież ich bronił, słabła z każdym dniem. W końcu wzrastający nacisk ze strony nie tylko mocarstw świeckich, ale i członków świętego kolegium zmusił Klemensa XIV do uczynienia kroku, przed którym od tak dawna się wzbraniał, ale którego, jak się zdawało, nie sposób już było uniknąć. Z niewypowiedzianym bólem i niepokojem w sercu papież drżącą ręką podpisał w końcu 21 lipca 1773 r. historyczne brewe *Dominus ac Redemptor*. Zostało ono ogłoszone miesiąc potem, mianowicie późnym wieczorem dnia 16 sierpnia, a nazajutrz wczesnym świtem wiadomość rozległa się jak piorun, budząc świat z uśpienia. Towarzystwo Jezusowe zostało skasowane. Klemens XIV, jakkolwiek uwzględnił nieliczne skargi, wnoszone przeciwko jezuitom, sam nie wyraził żadnej i formalnie ich nie potępił. Wydał on ów dekret jako zarządzenie administracyjne, do którego upoważniała jego najwyższa władza, lecz zarazem uzasadniał swą decyzję w słowach pełnych godności i smutku.

„Natchnieni, jak ufamy przez Ducha Bożego, przynagleni obowiązkiem przywrócenia harmonii w Kościele, przekonani, że Towarzystwo Jezusowe nie potrafi już dłużej spełniać zadań, dla których zostało założone oraz kierowani innymi jeszcze powodami, podyktowanymi przez roztropność i wzgląd na ogólne stosunki państwowe, które to powody wolimy zachować dla siebie, rozwiązujemy i anulujemy Towarzystwo Jezusowe wraz z jego urzędami, domami i instytucjami”².

Wiadomość ta była bardziej niż sensacyjna, była wręcz katastrofalna. Jezuita bowiem poza domami, jakie posiadali w Europie, obsługiwali 273 misje zagraniczne i liczyli ogółem blisko 25 000 członków. Jedno pociągnięcie pióra położyło kres ich zbiorowemu życiu. Nie było człowieka, którego by ta decyzja nie wpro-

² Donald Attawer, *A Dictionary of the Popes*. Clemens XIV, s. 289.

wadziła w zdumienie, nie było zacnego człowieka, który by się nią nie zmartwił. Jedni tylko święci potrafili zrozumieć. „Biedny papież – zawołał św. Alfons Liguori – co mógł uczynić wobec tych wszystkich ksiąząt, którzy zmówili się, by wymóc na nim tę kasatę? Naszym obowiązkiem jest trzymać język za zębami, uszanować niezbadane wyroki Boże i utrzymywać pokój w duszach naszych”. Wiadomo było powszechnie, że św. Paweł od Krzyża cieszy się zaufaniem papieża. Jednak pewien ksiądz, który przed jego chorobą stale towarzyszył mu podczas wszystkich audiencji u papieża, zapewnia, że w tej sprawie Ojciec św. nigdy nie zasięgnął rady Świętego. Pierwszym dniem, kiedy Paweł był w stanie odprawić Mszę św. po długotrwałej chorobie, był 20 sierpnia, trzy dni po ogłoszeniu wiadomości o kasacie. Pewien spostrzegawczy świadek zauważył tę znamiennej zbieżność: „Widzicie, to dlatego, że skończyła się już sprawa jezuitów. Pan Bóg trzymał go w łóżku przez cały ten czas, żeby złośliwe języki nie mogły ciskać oszczerstw na sługę Bożego i pomawiać go o skłonienie papieża do kasaty”.

Osobiste uczucia Pawła zostały niedwuznacznie wyrażone do o. Ludwika Reali SI w liście z 1767 r. po wygnaniu jezuitów z Hiszpanii i Neapolu:

„Co zaś się tyczy straszliwych dopustów, jakie spadły na chwalebne Towarzystwo Jezusowe, to mogę Ojca zapewnić, że i ja również przeżywam je bardzo głęboko. Na samą myśl o podobnych utrapieniach jęczę i wylewam łzy. Pomyśleć, że tylu biednych niewinnych zakonników cierpi prześladowanie, prowadzone z taką nienawiścią, a jednocześnie diabeł triumfuje, chwała Boża doznaje uszczerbku i tyle dusz idzie na zatracenie, gdyż zostały gwałtem pozbawione duchowego oparcia, jakie znajdowały w duszpasterskiej opiece tych Ojców we wszystkich częściach świata. Na widok takich okropności nie omieszkam tedy modlić się ze szczególną żarliwością. A zarazem ufam, że po tych wszystkich burzach, Bóg – dawca życia i śmierci, o godzinie sobie tylko

znanej wskrzesi to Towarzystwo w jeszcze większej chwale i wspaniałości. Zawsze to czułem i zawsze tak czuć będę”³.

Pierwsze spotkanie Pawła z Klemensem XIV po tym historycznym wydarzeniu odbyło się po powrocie papieża z Castel Gandolfo. Ojciec Święty właśnie zakończył dziękczynienie po Mszy św. i bez ceremonii zaprosił Świętego na śniadanie. Paweł wyraził swą wdzięczność za wyrwanie go z objęć śmierci: „Ojcze Święty, jeśli jeszcze żyję, to zawdzięczam to Waszej Świątobliwości. Zaufałem całkowicie rozkazowi i Pan Bóg wysłuchał głosu Jego Świątobliwości“. Papież skinął na towarzysza Pawła, aby ich zostawił samych, po czym nastąpiła długa, poufna rozmowa, zakończona jak zwykle serdecznym pożegnaniem. Teraz już nadeszła chwila, kiedy Klemens miał możliwość spełnienia obietnicy danej Pawłowi przed trzema laty. Najwidoczniej nie tracił jej z oczu przez cały ten czas, wypełniony o ileż ważniejszymi troskami, skoro pewnego razu zapytał, czy Paweł miał kiedy w swym życiu zakonnym wiernego towarzysza imieniem Jan. Gdy odpowiadano mu, że miał brata Jana Chrzyciciela, Ojciec św. zadumał się i szepnął: Joannes et Paulus... Jan i Paweł”.

Na Monte Coelio wznosił się słynny, starodawny klasztor pod wezwaniem Świętych Jana i Pawła, zajmowany w owym czasie przez misjonarzy św. Wincentego. Klemens XIV przystąpił do dzieła nie zwlekając. Misjonarze zostali przeniesieni do opustoszałego teraz nowicjatu jezuitów u św. Andrzeja na Monte Cavallo, a 6 grudnia 1773 r. klasztor Świętych Jana i Pawła został na mocy

³ O. de Ravignan SI, *Clement XIII et Clement XIV*, t. I, s. 255. Ojciec de Ravignan dodaje: „Posiadamy i jesteśmy szczęśliwi z posiadania dalszych, niemniej wymownych dowodów życzliwości tego wielkiego sługi Bożego dla Towarzystwa, które do końca życia kochał i poważał. Jest to fakt stwierdzony i dowiedziony“. W liście tym Święty przepowiedział zarówno skasowanie, jak i późniejsze ponowne powołanie do życia Towarzystwa Jezusowego. Po ludzku rzecz biorąc nie sposób było w owym czasie przewidzieć żadnego z tych wypadków; niemniej pierwszy miał miejsce już sześć lat później, drugi zaś nastąpił po czterdziestu siedmiu latach (*Listy*, t. IV, s. 21).

papieskiego mandatu podarowany zgromadzeniu pasjonistów. Dopiero wówczas stało się nagle jasne znaczenie proroczego okrzyku św. Pawła od Krzyża sprzed trzydziestu lat. Kiedy w 1743 r., przechodząc tędy z Tomaszem Struzzieri, ujrzał ten kościół po raz pierwszy, jak gdyby w ekstazie zawołał: „Święty Boże. Mój dom. To jest mój dom. Tu kiedyś zamieszkam i pozostanę, i tutaj umrę”. Struzzieri pomyślał wówczas, że kto wie, może nastąpi kiedyś jakie połączenie misjonarzy z wciąż jeszcze walczącymi o swe istnienie pasjonistami, ale Paweł już nie powrócił nigdy do tej sprawy. Nigdy nie wspomniał o niej papieżowi, ani nie uczynił najmniejszego bodaj kroku w kierunku zapewnienia sobie posiadania tego klasztoru. Ani też papież nie myślał jeszcze o świętych Janie i Pawle, kiedy to obiecywał świętemu dom i kościół w Rzymie. Dopiero, gdy proroctwo się spełniło, stało się dla wszystkich jasne, iż płynęło ono z Bożego natchnienia. Miał to być rzeczywiście „jego dom”, skoro śmiertelne szczątki i wszystkie doczesne pamiątki po św. Pawle spoczywają dziś w bazylice św. Jana i Pawła przy macierzystym domu zgromadzenia pasjonistów.

Paweł wystosował do papieża list z gorącym podziękowaniem za ten iście królewski dar, za ten dom, „gdzie wspomnienie męki Zbawiciela naszego będzie rozpamiętywane poprzez wieki... trwały pomnik pobożności i gorliwości, z jaką Jego Świątobliwość szerzy nabożeństwo do męki Jezusa Chrystusa”, a zakończył list modlitwą: „Oby Najwyższy raczył okryć Jego Świątobliwość płaszczem swej najświętszej opieki”.

Tytularny biskup bazyliki, kardynał Boschi, przysłał wspaniałą karocę i służbę w liberiiach, by odwieźć Pawła do jego nowego domu. Święty jednak nie miał zamiaru zmieniać na stare lata swego stosunku do zewnętrznych splendorów. Wolał pokornie pójść pieszo ulicami w otoczeniu małego grona dziesięciu ojców i pięciu braci⁴.

⁴ Najmłodszym z owych kapłanów był o. Wincenty Strambi CP, który wstąpił do zgromadzenia w 1768 r. i był autorem pierwszego życiorysu św. Pawła. Został biskupem Maceraty w 1801 r. Beatyfikowany w 1925 r., a kanonizowany w 1950 r.

9 grudnia wyruszyli z hospicjum, by objąć w posiadanie swój najobszerniejszy klasztor. Niedługo trwało zanim zgromadzenie urosło do liczby trzydziestu zakonników, powołanych z innych domów. Paweł bowiem pragnął, aby ten klasztor stał się wzorem dla całego zgromadzenia.

Pół roku później, 26 czerwca, w święto Braci Męczenników, pod wezwaniem których znajdował się kościół, Klemens XIV odwiedził klasztor świętych Jana i Pawła, gdzie udzielił posłuchania całemu zgromadzeniu. Następnie wycofał się do małej celi Pawła, gdzie przez długi czas pozostali sami. Nikt nie dowiedział się nigdy, co zaszło między nimi w czasie tego ostatniego spotkania. Miało się już dobrze ku wieczorowi, gdy papież ukazał się znowu. Widać było po nim, że czuje się wyraźnie pokrzepiony, jak gdyby szczęśliwszy aniżeli wyglądał ostatnimi laty. Było to ich ostatnie spotkanie, gdyż kilka miesięcy później Klemens XIV rozchorował się i zmarł 22 września 1774 roku.

Następne tygodnie pełne były pogłosek o przeróżnych politycznych intrygach, zanim długotrwałe konklawe zakończyło się 6 lutego 1775 r. wyborem kardynała Braschi jako Piusa VI. Jednymi z pierwszych odwiedzin nowego papieża, zaraz na początku Wielkiego Postu, były odwiedziny u świętych Jana i Pawła, gdzie prosił, by go zaprowadzono do celi Pawła. Gdy biała odziana postać papieża ukazała się w wąskich drzwiach, Paweł był tak zmieszany, że mógł zdobyć się tylko na urywane słowa: „Ojcze Święty... Wasza Świątobliwość... odwiedzać biednego grzesznika... najnędzniejszego syna Kościoła świętego... Ojcze święty”. Lecz papież uśmiechnął się tylko i natychmiast wzbudził w nim takie zaufanie, że swobodnie przegwarzyli sobie cały kwadrans i byli ogromnie zadowoleni z tej rozmowy.

W maju odbyła się w Rzymie szósta z kolei kapituła generalna zgromadzenia. Ponieważ jakkolwiek inny wybór był wręcz nie do pomyślenia, Paweł został ponownie jednogłośnie wybrany generałem, którym był od samych narodzin zgromadzenia⁵.

⁵ Był ponownie wybierany na wszystkich poprzednich kapitułach.

Dla uniknięcia jakichkolwiek ewentualnych protestów ze strony Pawła postarano się już z góry o wymaganą dispensę, lecz własna jego ocena swego stanu zdrowia wynikała niedwuznacznie choćby ze wstępnych słów jego późniejszej przemowy: „Bracia najmilsi, żalością napęłnia mnie wasz wybór...”. Głównym jednak zadaniem kapituły było ponowne rozpatrzenie reguły, punkt po punkcie, niemal słowo po słowie. Dla Pawła było to ostatnie wykończenie dzieła miłości. Gdy tak oto siedział z głową pochyloną nad tymi swojskimi kartkami, jakże daleko już odszedł od małej izdebki w Castellazzo, gdzie zostały one niegdyś napisane, a jednak jakże nagle wydała mu się na nowo bliska. Po dokonaniu rewizji reguły, która już przeszła przez tyle najprzeróżniejszych prób, została przedłożona Piusowi VI do ponownej formalnej aprobaty.

Święty Rok 1775 ściągnął do Rzymu, jak zwykle, tłumy pielgrzymów pragnących dostąpić odpustu jubileuszowego. Wśród nich znajdowała się dziewczyna imieniem Róża Calabresi, której Paweł dotąd jeszcze nigdy nie spotkał osobiście, jakkolwiek już od dziesięciu lat był jej kierownikiem duchowym i stale z nią korespondował. Wymieniane między nimi listy były bardzo liczne, gdyż Paweł pisywał do niej niemal co tydzień, lecz na wyraźne jego życzenie, które Róża uważała za obowiązujące pod rygorem posłuszeństwa, spaliła je wszystkie. W owym czasie dobiegała już czterdziestki. Była to dusza wybrana, obdarzona niezwykle łaskami. Po przybyciu do Rzymu niemal codziennie przychodziła do zakrystii klasztoru świętych Jana i Pawła, gdzie miewała ze Świętym długie duchowe rozmowy, znaczone szeregiem zdumiewających, nadprzyrodzonych zjawisk. Stały się one jednak znane dopiero, gdy Róża została wezwana jako świadek w czasie procesu kanonizacyjnego. Do tego czasu trzymała je w ścisłej tajemnicy. Ponieważ Święty nie mógł już chodzić, znoszono go do zakrystii na te rozmowy, w czasie których mimo swej głuchoty wyraźnie słyszał jej głos, nawet gdy mówiła szeptem. Opatrznościowa rola Róży w ostatnich miesiącach życia Pawła jest aż nadto jasna. Była

ona zesłanym przez samego Boga świadkiem, mającym w przyszłości złożyć zeznania potwierdzające nadprzyrodzone łaski, które rozpromieniły schyłek ziemskiego życia Świętego⁶.

Żaden cień lęku nie przyćmiewał tych ostatnich miesięcy. Wszelka trwoga i lęk pierzchały już bezpowrotnie, jak chmury, które rozpraszając się przed blaskiem zachodu, pozostawiają jedynie jaśniejącą światłość zór wieczornych. Siły cielesne powoli go opuszczały, lecz oczekiwał końca z niezmaconym spokojem. „Nie pragnę ani żyć, ani umierać – mówił – pragnę tylko tego, co Bóg da”. Myślą musiał zapewne powracać do wspomnienia Jana Chrzciciela, gdyż często powtarzał jego przedśmiertne słowa: „Jeśli nadszedł nasz czas, umierajmy mężnie. Nie boję się śmierci”. Niespożyty, żelazny organizm nie dopuszczał do zakończenia bolesnej walki, dla duszy jednak skończyły się już czasy walki i bólu. Nie był już w stanie przyjmować żadnego pożywienia, poza odrobiną chleba rozkruszonego w wodzie, a w ostatnich tygodniach tylko czystej wody – aż w końcowych dniach już nawet wody nie potrafił przełknąć. W czerwcu po raz ostatni odprawił Mszę św., lecz do końca jeszcze uczestniczył w Najświętszej Ofierze odprawianej codziennie w kapliczce przyległej do jego celi. Przyszłość zgromadzenia wciąż jeszcze zaprzętała jego myśli. 30 sierpnia udzielono mu wiatyku, po czym wygłosił długą przemowę do zebranego zgromadzenia – swój ostateczny duchowy testament, wiernie zanotowany przez dwu sekretarzy, dyskretnie ukrytych przed jego wzrokiem:

„Przede wszystkim, jak najusilniej zalecam wam przestrzeganie świętego nakazu danego przez Jezusa Chrystusa swym uczniom: Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeżeli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu. Oto moi umiłowani

⁶ Podobne fakty znane są też z życia innych świętych, np. św. Teresy i św. Piotra z Alkantary, św. Joanny Franciszki de Chantal i św. Franciszka Salezego, sługi Bożej Benincasy i św. Filipa Nereusza. Obszerne sprawozdanie z widzeń podajemy w cz. II, rozdz. II.

bracia, czego z całą miłością mego biednego serca żądam od was tu obecnych, od innych noszących habit pokuty i żałoby na pamiątkę męki i śmierci naszego umiłowanego Boskiego Odkupiciela, i od wszystkich, których w przyszłości Miłosierdzie Boże powoła do tej małej trzódki Chrystusowej.

Następnie zalecam wam wszystkim, ale zwłaszcza przełożonym, aby stale podtrzymywali i pielęgowali w zgromadzeniu ducha modlitwy, ducha samotności, ducha ubóstwa. Bądźcie pewni, że jeśli tych trzech rzeczy będziecie strzegli, zgromadzenie rozbłyśnie jak słońce w oczach Boga i ludzi.

Ze szczególnym naciskiem zalecam wam synowską miłość do świętej Matki naszej – Kościoła i bezwzględną uległość wobec tej widzialnej głowy, Namiestnika Chrystusowego. Módlcie się dniem i nocą za Kościół i najwyższego pasterza. Starajcie się pracować jak tylko możecie dla dobra Kościoła św., dla zbawienia biednych dusz za pomocą misji, rekolekcji i innych dzieł, które by zgodnie z duchem naszego zakonu potęgowały we wszystkich sercach nabożeństwo do męki Jezusa Chrystusa i boleści Maryi... A w końcu, padając na twarz i ze łzami w sercu, błagam całe zgromadzenie o przebaczenie, zarówno obecnych, jak i nieobecnych, wszystkich win, jakich się dopuściłem jako przełożony generalny, na którym to stanowisku z woli Bożej przez tyle lat pozostawałem. Ach, ja nieszczęsny. Teraz, gdy żegnam się z wami, aby wejść do wieczności, nie pozostawiam wam nic, tylko zły przykład. Ale muszę powiedzieć, iż nigdy tego nie zamierzałem, gdyż zawsze leżało mi na sercu wasze uświęcenie i doskonałość. A więc raz jeszcze proszę was o przebaczenie i polecam wam moją biedną duszę tak, aby Bóg raczył ją łaskawie przyjąć na łono swego miłosierdzia.

Wszystkim wam obecnym, nieobecnym i przyszłym udzielam swego błogosławieństwa: Błogosławieństwo Boga wszechmogącego, Ojca i Syna i Ducha Św. niech zstąpi na was i pozostanie na zawsze”⁷.

⁷ Okólny list następnego generalnego superiora, o. Jana Chrzyciela od św. Wincentego Ferreriusza (*Bollettino*, t. X, nr 4, s. 107–108).

Od tego dnia – na jego prośbę – zostawiono go samego, aby mógł bez przeszkód przygotować się na śmierć. Okna jego pokoju były przysłonięte, ażeby łagodne światło sprzyjało skupieniu i ułatwiało modlitwę. Tylko kilku uprzywilejowanych zyskiwało od czasu do czasu dostęp do niego na ostatnią rozmowę, podczas gdy pielęgniarz, brat Bartłomiej, cicho krzątał się wokół swoich obowiązków. Wśród tych rzadkich gości był o. Boxadors, przełożony generalny dominikanów, którego Paweł poprosił o zezwolenie ustanowienia Bractwa Różańcowego we wszystkich swych nowicjatch – pozwolenie, które zostało mu skwapliwie udzielone. Teraz, gdy umierał, najbardziej mu odpowiadały praktyki prostej pobożności; toteż stale trzymał w palcach różaniec i codziennie rozpamiętywał jakże bliskie mu tajemnice. 15 września doszła go radosna nowina, że Pius VI ponownie zatwierdził uroczyscie jego instytut, przyznając mu nowe łaski i przywileje na mocy bulli *Praeclara virtutum exempla*.

Słaby promyk życia migotał na przemian i przygasał. Nikt już nie wątpił, że koniec jest bliski. 8 października otrzymał Święty ostatnie namaszczenie, po czym prosił, aby już żadnych gości do niego nie dopuszczano, z wyjątkiem własnych zakonników. I tak płynęły dni aż do 18 października, dnia św. Łukasza, kiedy to Paweł po raz ostatni otrzymał wiatyk. Cały poranek zszedł mu spokojnie na modlitwie, przerywanej dopiero przybyciem kilku dostojnych gości; biskupa Marcucci, wiceregenta Rzymu, biskupa Tafuri, ordynariusza ze Scali oraz kilku innych. Po południu przybył monsinior Struzzieri, biskup-pasjonista, który pośpieszył wprost do celi Pawła. Oczy umierającego rozbliły radością na widok jednego z najbardziej umiłowanych synów. Podźwignął się na łożu, by powitać biskupa i z tak znamiennej u niego uprzedzającą uprzejmością przywołał braciszka: „Pójdź, powiedz ojcu rektorowi, aby zatroszczył się o ks. biskupa – polecił – musimy dbać o swoich. A nie zapominajcie też o jego służbie”.

Po czym nastała znów cisza i spokój, aż do godziny nieszpornej, kiedy to nagle Święty, wciąż zupełnie przytomny, rozpoznał zbli-

zanie się siostry śmierci. Spokojnie przemówił do brata pielęgniarza: „Śmierć już jest bardzo blisko. Przywołajcie ojca Jana Marię, abym mógł polecić swą duszę”. Brat Bartłomiej pochylił się nad nim, lecz nie zauważył żadnych widocznych zmian. Próbował tedy rozproszyć to, co mu się wydawało bezpodstawną obawą, prosząc Pawła, aby zechciał zaczekać aż do końca nie-sporów i starając się go pocieszyć krzepiącymi słowami. Paweł uczynił ostatni wysiłek, aby mu powiedzieć. Wskazując na krucyfiks i obrazek Matki Bożej stojący przy łóżku, szepnął: „Oto wszystka nadzieja moja... Męka Chrystusowa i Boleść Maryi”.

Były to zapewne jego ostatnie słowa, gdyż niebawem nie był już w stanie przemówić. Wystraszony brat Bartłomiej natychmiast przywołał spowiednika, ojca Jana Marię. Dość było jednego spojrzenia i już kilka minut później całe zgromadzenie zebrało się wokół łóża świętego, odpowiadając na modlitwy za konających. Monsinior Struzzieri, świadomy doniosłości chwili, pochylił się, by wyrazić ostatnią prośbę: „Ojcze, proszę pamiętać w niebie o swoim zgromadzeniu i o nas wszystkich, swoich dzieciach”. Paweł skinął tylko głową na znak potwierdzenia. Było to wszystko, co mógł uczynić.

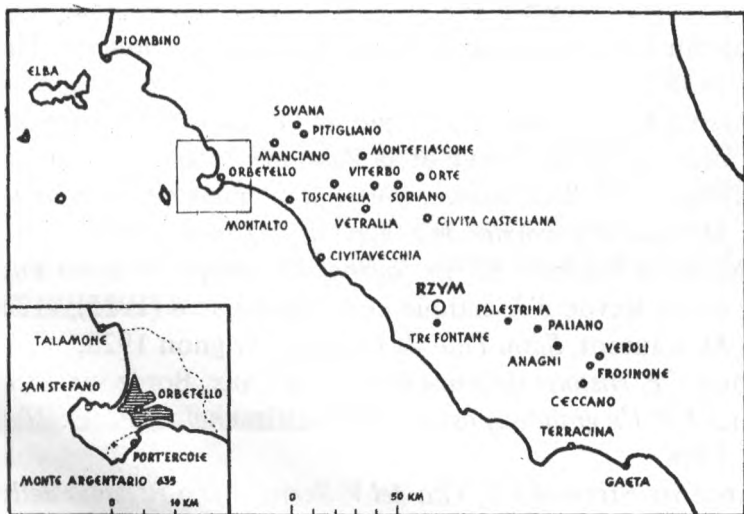
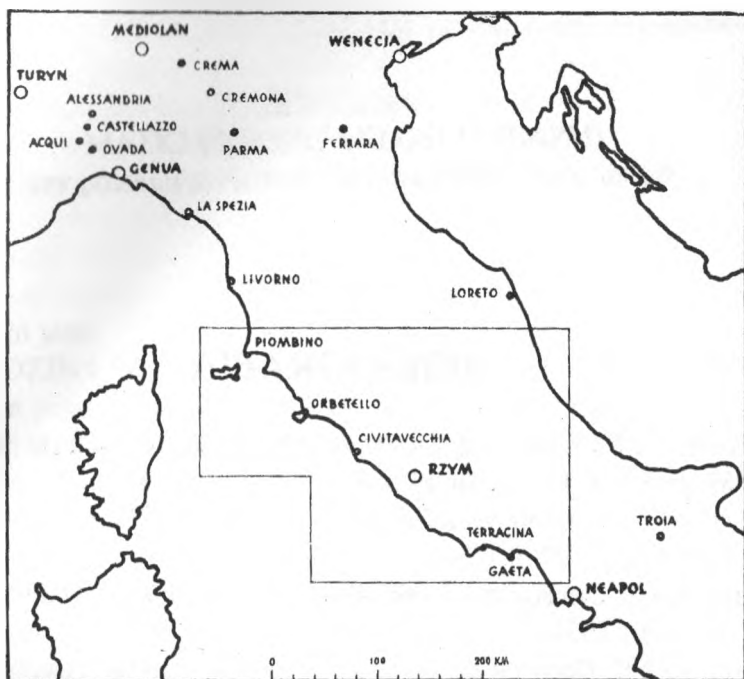
Jeden z ojców zaczął cichym głosem czytać Ewangelię o męce Pańskiej według św. Jana. Paweł nie odrywał oczu od krucyfiks, który trzymał przed nim jego spowiednik. A spokojny głos powoli czytał dalej. Czytał ostatnią przemowę Chrystusa do Apostołów w drodze do Getsemani. Oddech Pawła stawał się coraz cichszy, jego wzrok nie odwrócił się ani na chwilę, aż oto nagle nie czyniwszy żadnego innego ruchu, nie westchnąwszy nawet, zamknął oczy i usnął. Dobiegał właśnie koniec zaczętego wersetu: „Tak mówił Jezus i podniósłszy oczy ku niebu, rzekł: „Ojcze, nadeszła godzina moja, wsław Syna Twego, aby i Syn Twój wsławił Ciebie” (J 17,1).

Było około pół do piątej po południu. Czytający bezszelestnie zamknął książkę.

TABLICA CHRONOLOGICZNA

1694	Narodziny św. Pawła od Krzyża w Ovada.
1715-1716	Paweł zaciąga się jako ochotnik do armii weneckiej.
1719	Bierzmowanie w Castellazzo.
1720	Pierwsza wizja habitu pasjonistów. Paweł zostaje przyobleczony w czarny habit. Rozpoczyna wielkie rekolekcje, podczas których pisze Regułę Zgromadzenia.
1721	Paweł zamieszkuje przy kościele św. Stefana w Castellazzo. Pierwsza bezskuteczna podróż do Rzymu.
1722-1723	Pierwszy pobyt na Monte Argentario.
1722	Mistyczne zaślubiny.
1724	Pobyt w Gaeta aż do września, następnie w Troi.
1725	Pielgrzymka do Rzymu z okazji roku jubileuszowego: Benedykt XIII udziela Pawłowi ustnego pozwolenia na gromadzenie towarzyszy.
1726	Pobyt w szpitalu św. Gallikana w Rzymie.
1727	Paweł otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk Benedykta XIII.
1728	Powrót na Monte Argentario.
1730	Paweł głosi swe pierwsze misje w Talamone.
1733	Położenie kamienia węgielnego pod pierwszy klasztor pasjonistów.

- 1734-1735 Wojna między Hiszpanią a Austrią.
- 1737 Poświęcenie samotni na Monte Argentario.
- 1741 Benedykt XIV zatwierdza regułę reskryptem z 15 maja. Pierwsi pasjoniści składają profesję zakonną.
- 1744 Otwarcie klasztorów w Vetralla i Soriano.
- 1746 Benedykt XIV zatwierdza regułę brewe z 28 kwietnia.
- 1747 Pierwsza kapituła generalna obiera Pawła generalnym przełożonym.
- 1748-1750 Rozpatrywanie w Rzymie skarg zakonów zebranych przeciwko pasjonistom.
- 1765 Śmierć brata Pawła, o. Jana Chrzyciciela.
- 1769 Klemens XIV zatwierdza regułę (15 listopada) bullą *Supremi Apostolatus*.
Paweł głosi swe ostatnie misje w Rzymie.
- 1773 Klemens XIV przekazuje zgromadzeniu pasjonistów kościół i klasztor św. Jana i Pawła w Rzymie.
- 1775 Pius VI ponownie zatwierdza regułę bullą *Praeclara virtutum exempla* (15 września).
Śmierć św. Pawła od Krzyża w wieku lat 81.
- 1853 Beatyfikacja sługi Bożego Pawła od Krzyża przez Piusa IX.
- 1867 Kanonizacja św. Pawła od Krzyża.



Miejscowości związane z życiem św. Pawła od Krzyża